

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LIPIEC 2022/4

magazynhisteria.pl

BIAŁE DRZWI

DOBRY CHŁOPIEC

KOŁOWRÓT CZASU

LAMENT MARTWEJ NOCY

KRUKI I WRONY

POCZYTAJ, TATO

PRZEPROWADZAM DEKONSTRUKCJĘ  
RZECZYWISTOŚCI W AUTOHIPNOZIE

SAMOTNOŚĆ

WCIELENI

# SPIS TREŚCI:

BIAŁE DRZWI	Antoni Nowakowski	3
DOBRY CHŁOPIEC	Artur Cyan	16
KOŁOWRÓT CZASU	Halmar	25
KRUKI I WRONY	Tomasz Matuszewski	29
LAMENT MARTWEJ NOCY	Narczyz Florent	40
POCZYTAJ, TATO	Emilian Wojnowski	48
PRZEPROWADZAM DEKONSTRUKCJĘ RZECZYWISTOŚCI W AUTOHIPNOZIE	Bartłomiej Łysionek	62
SAMOTNOŚĆ	Krzysztof Szabla	70
WCIELENI	Dariusz Sprenglewski	74

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Okładka:** Joanna Widomska

**Skład:** Maciej Zawadzki

**Ilustracje:** Ilona Bielicka, Halmar, Krzysztof Kowalik, Roman Panasiuk, Zvyrke

**Korekta:** Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.





# BIAŁE DRZWI

Antoni Nowakowski

*Niebezpiecznie jest wiedzieć niewiele. Wiedzieć wiele też.*  
(Albert Einstein)

Pióro wieczne ze złotą stalówką skrzypiało, gdy Moriarty w milczeniu zapisywał arkusz papieru, który nosił tytuł „Wstępna ocena stanu pacjenta”. Widać było, że zastanawia się nad wypełnieniem każdej z licznych rubryk.

Pióro wyglądało na naprawdę drogie, a spory diament, osadzony na szczycie platynowej nasadki, czasami niespodziewanie błyskał odbitymi refleksami światła włączonego mlecznego żyrandola.

Wreszcie Moriarty zakończył. Splótł dłonie i w milczeniu patrzył na łysiego jak kolano człowieka, siedzącego po drugiej stronie błyszczącego niczym lustro biurka z hebanu.

– Krótko mówiąc, twierdzi pan, że ostatnio nic się panu nie udaje... – Głos doktora przerwał przedłużającą się ciszę. Z widocznym namysłem postukał palcem w blat. – Albo inaczej... – dodał po chwili. – Wszystko się panu, panie Egg, sypie.

Egg wolno pokiwał głową.

– To nie do końca tak... – Pacjent uśmiechnął się niepewnie. Mignęła mu myśl, że ten ceniony psychiatra lubi notować wszystko ręcznie i popisywać się przy tym swoim wspaniałym piórem. Upodobania Moriarty'ego nie miały jednak teraz znaczenia: dla Egga znacznie istotniejszy był coraz bardziej niepokojący go stan własnego umysłu. – Szczerze powiedziawszy – Egg kontynuował wolno – jest tak, że od dłuższego czasu zachowuję się jak ostatni bałwan. Mówiłem już panu, że jestem redaktorem w paru wydawnictwach, zajmujących się literaturą fantastyczną. Świetnie mi szło. Wysokie nakłady, rozchwytywane w okamgnieniu... Prowadziłem też renomowane witryny literackie.

Moriarty słuchał uważnie.

– W obecnych czasach praca zdalna to nic trudnego – ciągnął Egg. – I naprawdę nieźle płacą. Widzi pan, reklamodawcy sporo łożą, i to bez wahania... Dwa miesiące temu nagle wydarzyło się coś zupełnie niezrozumiałego... Ten stan stale się pogłębia.

Ciężko westchnął.

– Zapominam o wszystkim, uciekają mi daty i terminy. Zawalam sprawy, jedną po drugiej, a klienci, użytkownicy i webmasterzy kipią wściekłością. Nic mi się nie udaje. Podobnie jest w redakcjach czasopism.

Moriarty z namysłem wpatrywał się w twarz Egga.

– Przepraszam za kolokwializm – ciągnął Egg – ale czuję się tak, jakby ktoś urwał mi jaja. Porównanie oddaje istotę sprawy. Polecono mi pana jako specjalistę od takich przypadków. Nalegano, żebym pana odwiedził...

Gabinet Moriarty'ego był mieszaniną wysmakowanej elegancji i funkcjonalności, sprawiał jednak bardzo przytulne wrażenie. Jeden tylko element wyraźnie raził nietypowością: białe drzwi w ścianie za plecami lekarza, z wielką, mosiężną klamką, wykonane z litego drewna. Przypominały używane dawno temu frontowe drzwi szpitalne.

Egg zerkał na nie niepewnie. Sprawiały dziwne i bardzo niepokojące wrażenie.

– Kryzys wieku średniego i wypalenie zawodowe... – Głos Moriarty'ego zmusił Egga do odwrócenia spojrzenia. – Nadmienię, że to bardzo wstępna diagnoza. Terapia jest prosta:

długi urlop, ograniczenie ilości zajęć, pewnie rezygnacja z jakiegoś etatu, może dwóch. Znalezienie sobie czegoś nowego... Wtedy szybko dojdzie pan do siebie.

– Chyba, że sprawa jest znacznie poważniejsza – ciągnął po chwili milczenia. – O wiele bardziej złożona... To wymaga jednak gruntownych i kompleksowych badań. Być może, właśnie z tego powodu usilnie pana namawiano do złożenia mi wizyty.

Doktor dziwnie się uśmiechnął.

– Co pan przez to wszystko rozumie? – ostrożnie zapytał Egg.

Stojący w rogu gabinetu wentylator szumiał cicho.

– Może od razu rozpoczniemy poszerzoną analizę. – Moriarty ponownie wziął do ręki pióro. Zrobił jakiś znaczek na arkuszu wstępnej oceny. – Rozumie pan wyraz „android”?

Mocno zaakcentował ostatnie słowo.

– Nie wiem, co on znaczy. – Redaktor w obronnym geście podniósł rękę. – Mówiłem już, że o wielu sprawach nie pamiętam. Chyba bezpowrotnie już o nich zapomniałem...

– A przecież para się pan też literaturą fantastyczną. – Psychiatra splótł dłonie pod brodą. – Następne pytanie: pewien znany pisarz przewidział istnienie androidów. Wie pan, jak brzmiało jego nazwisko i tytuł książki?

– Nie. – Egg potrząsnął łysą głową. – Wiedza szybko ulatuje mi z mózgu... Nie pojmuję, o czym pan mówi. Dlaczego pan drażni ten temat?

Nie mógł się powstrzymać od spojrzenia na solidnie wyglądające białe drzwi.

– Pytam, bo pan może być właśnie androidem. – Moriarty kaszlnął. – Androidem z wyczerpującym się źródłem zasilania. Wydaje się to panu nieprawdopodobne? A jednak...

Piękne, białe zęby doktora błysnęły w szerokim uśmiechu.

– Widzi pan – psychiatra zmienił ułożenie dłoni – swego czasu kilka największych i bardzo bogatych światowych wydawnictw wpadło na pomysł stworzenia redaktorów doskonałych: rzutkich, ekspansywnych, wiedzących prawie wszystko, pracujących bez wytchnienia. Wbudowane wspomnienia, wmontowane przekonanie o ludzkiej cielesności, dodatkowo potwierdzone spożywaniem normalnych pokarmów oraz wydalaniem kału i moczu, sfabrykowana przeszłość... Te, nazwijmy je tak, wytwory, święcie wierzą w swoje ludzkie istnienie, a w rzeczywistości są tylko bardzo nietypowymi robotami wysokiej klasy, wykorzystującymi ciało ludzkie, jego mózg i kilka innych podrzędnych człowieczych funkcji. Androidami... Niestety, wszystkim powoli wyczerpują się źródła zasilania. Powiedzmy dla uproszczenia, że baterie.

W zapadłej ciszy Egg wyraźnie usłyszał dźwięk, zgrzyt, jakby ktoś po drugiej stronie muru przekręcał klucz w zamku. Klamka poruszyła się dwa razy.

Moriarty nie zwrócił uwagi na metaliczny chrobot.

– Pan żartuje. – Egg potrząsnął głową. – Wypraszam sobie takie głupie dowcipy!

Chusteczką otarł twarz. Nagle pokryła ją gruba warstwa potu.

Egg wpatrywał się w mokry splacheć batystowej tkaniny, jakby niespodziewanie stanowiła teraz widome potwierdzenie jego ludzkiego istnienia. Niepewnie uśmiechnął się.

– Niech mi pan uwierzy, że nie. – Psychiatra wbił wzrok w oczy człowieka po drugiej stronie biurka. – To, o czym mówię, potwierdziły sekcje. Niezwykle kłopotliwa sprawa, więc nikt o niej nie mówił i nie mówi głośno. Skrzętnie okryto ją całunem milczenia.

– Potwierdziły wtedy, kiedy jeszcze wykonywano sekcje... – dodał po chwili. Ponownie dziwnie się uśmiechnął.

Teraz starannie modulował głos, jakby prowadził akademicki wykład.

– Oczywiście, to tylko alternatywne rozpoznanie – kontynuował. – Przeprowadzimy dalsze badania, a zaczniemy od tęczyówki i źrenicy oka. Nie wyobraża pan sobie, ile mogą powiedzieć o tym, co kryje się za nimi głębiej. Dysponuję odpowiednim sprzętem. Najnowszym...

Szczupła dłoń wskazała drzwi w bocznej ścianie, z mleczną szybą pośrodku.

Egg ponownie wytarł nadal spocone czoło.

– Przyjmując nawet tę diagnozę za trafną, chociaż w nią oczywiście wątpię – wystękał po chwili głosem pełnym nadziei – problem właściwie sprowadza się do odnowienia źródła zasilania. Wymiany baterii, jeżeli pan woli to określenie. Wtedy wszystko wróci do normy...

Klamka w białych drzwiach poruszyła się, jakby ktoś sprawdzał, czy zamek się nie zacina. Obaj nie zwrócili na to uwagi.

– Myli się pan... – Psychiatra z uwagą oglądał wypielęgnowane paznokcie swoich długich palców. – Android to nie robot, zwykły mechanizm naszpikowany elektroniką, z możliwością wymiany podzespołów, chociaż i nie człowiek. Sekcje wykazały, że ta seria wyrobów nie posiada możliwości regeneracji. Naprawdę przykro mi...

Twarz Egga wyrażała niepewność. Miął w dłoni wilgotną chusteczkę.

– Jaką więc zastosuje pan terapię, gdybym jednak okazał się androidem? – zapytał w końcu.

Psychiatra niedbałym gestem strzepnął z klapy pięknie skrojonej marynarki niewidoczny pyłek.

– Wyjdzie pan tamtędy albo też ktoś pana tam wyniesie. – Podniesiony kciuk Moriarty'ego wskazał przejście za jego barkami. – Te białe drzwi prowadzą do zakładu utylizującego zbędny sprzęt biurowy.

Głos doktora niespodziewanie stwardniał.

– I niech pan nie stawia oporu, bo nie warto – rzucił. – Ludzie, którzy na pana czekają, są wprawieni z radzeniem sobie z kupą złomu pomieszaną z kawałkami ludzkiego mięsa, którą pan niebawem się stanie...

Zdecydowanym ruchem wrzucił do stojącej za biurkiem niszczarki tak starannie niedawno wypełniany arkusz papieru i nacisnął włącznik.

\*\*\*

Moriarty przeciągnął się, wstał z fotela i poruszył klamką w białych drzwiach. Skrzypiała, i to mocno.

Doktor doszedł do wniosku, że zamek należy wreszcie naoliwić. Odpowiednim smarem, takim, który w przyszłości nie spowoduje zacięć. Przy osadzaniu drewnianego zamknięcia przejścia w murze ludzie, którzy to robili, zwracali na to uwagę, z naciskiem twierdząc, że towot albo pospolita oliwa do tego się nie nadają.

Moriarty dobrze znał przyczyny złego funkcjonowania starego zamka. Po prostu, rzadko go ostatnio używano i nikt nie zaprzętał sobie głowy jego konserwacją. To było oczywiste: jego zlecniodawcy szacowali, że z tej serii, do której zaliczał się Egg, pozostało zaledwie kilka sztuk. Może nawet ten dzisiejszy pacjent był ostatnim z nich... Resztę albo już wybito, albo po prostu przestali funkcjonować. W aktach zgonu jako przyczynę śmierci wpisywano nagle ustanie akcji serca. Niekiedy ukazywały się patetyczne nekrologi, jeżeli dany osobnik był bardziej znany. Nikt niczego nie dociekał, bo zmarli nie mieli przyjaciół, rodzin i dzieci, a Moriarty bardzo dobrze wiedział, dlaczego. Przy ich konstruowaniu wyeliminowano seksualizm, a w pamięci dawnych redaktorów zapisano niezłomne przekonanie, że są impotentami.

Doktor rzucił okiem na ścienny zegar. Było już późne popołudnie, a Egg był ostatnim pacjentem. Należało zamknąć gabinet i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku udać się do domu, położonego w jednej z ekskluzywnych dzielnic Londynu.

Moriarty uśmiechnął się skąpo.

Dzisiejszy dzień zakończył się sukcesem, chociaż zachowanie Egga budziło jego niesmak. Odbierał je jako pospolitą farsę, ale nie dziwiło go: w jednej chwili okazało się, że świat, w którym żył niedawny pacjent, wszystko, w co głęboko wierzył, wali się w gruzy, a te nieubłagane zamieniają się w proch.

Moriarty wykrzywił twarz i wzruszył ramionami w gestach pełnych pogardy.

*Cóż – pomyślał. – Wytwór wąsko wyspecjalizowany, trudno było spodziewać się po nim czegokolwiek innego. Nawet nie pojmował, że w rzeczywistości jest cyborgiem, a ja wyrazu „android” użyłem jako przykładu... Dobrze, że za nim szybko stworzono inne cyborgi, znacznie doskonalsze, w tym i mnie, o czym Egg już nie wiedział...*

Jutrzejsza doba zapowiadała się zdecydowanie lepiej, bo wczesnym rankiem miał odwiedzić pewien zakład, kryjący się pod szyldem „Klinika zabiegów plastycznych”, w którym zostanie dokonana wymiana jego podzespołów zasilania. Jeszcze nie wykazywały wyczerpania, ale kres ustania ich pracy nieuchronnie nadchodził.

W sterylnie czystych salach z frontu rzeczywiście wykonywano zabiegi upiększające, ale prawdziwą działalność prowadzono na zapleczu, w pomieszczeniach, eufemistycznie określanych jako „magazyny”. Nikt niepowołany tam nie zaglądał, tylko zaufani pracownicy, a także cyborgi trzeciej generacji, takie jak Moriarty. Sam proces wymiany nie był prosty i trwał dobrych kilka godzin, był bardzo poważną i skomplikowaną operacją techniczną, ale, jak dotąd, zawsze przebiegał pomyślnie.

Moriarty cieszył się z tego, chociaż pospolite ludzkie uczucia były mu obce, bo przecież jeszcze miał tyle pracy do wykonania...

Dziwny dźwięk dobiegł zza jego pleców, zgrzyt ponownie przekręcanego klucza w zamku. Zupełnie niespodziewany, bo przecież sprawa niedawnego gościa została całkowicie załatwiona.

Doktor doszedł do wniosku, że pewnie obsługa punktu utylizacji też zauważyła kłopoty, które sprawia stare zamknięcie. I zabrała się za naprawianie usterki.

Białe drzwi otworzyły się z piskiem niesmarowanych od dawna zawiasów.

Moriarty nie znał kilku ludzi, którzy niespodziewanie pojawili się w gabinecie. Byli ubrani w kombinezony robocze, na głowach nosili maski ochronne i kaski, ale tak zawsze bywało. Od poprzedników różniło ich to, że w dłoniach mieli przedmioty, wyglądające na broń, zaopatrzone w długie tłumiki.

Przynieśli ze sobą także narzędzia murarskie: kielnie i szpachlówki, a w sporym nosidle już rozrobioną zaprawę.

– Niech pan nie stawia oporu, naprawdę nie warto... – stwierdził najwyższy z niespodziewanych przybyszy. – Postaramy się, żebyś nie czuł bólu. I załatwimy to szybko.

Celnie wymierzony strzał rozłupał Moriarty’emu czaszkę. Runął na podłogę. Raz za razem głowę psychiatry rozrywały kolejne pociski. W końcu znieruchomiał.

Na pokrwawionym blacie biurka nadal leżało piękne wieczne pióro.

Jeden z zabójców, ten, który pierwszy nacisnął spust, wziął je do ręki.



– Wspaniałe! – stwierdził krótko. – VanCleef, pewnie nie mogę go zabrać?

Człowiek noszący nazwisko VanCleef odpowiedział natychmiast:

– Trzeba je zostawić... Ktoś mógł je zapamiętać, a znalezione u ciebie, stanowiłoby dowód rzeczowy. Zaczęto by się zastanawiać, skąd je masz i dlaczego psychiatra zniknął...

Pokiwał głową.

– Do roboty, chłopcy! – zakomenderował. – Nie może zostać nawet ślad istnienia Moriarty’ego! Dokładnie zmyć blat biurka, a potem wysuszyć! Wiecie, że jak tutaj skończymy, od razu zabieramy się za likwidowanie naszego punktu!

Grupa pracowała sprawnie. Białe drzwi w ciągu kilku minut zostały wymontowane. Ułożono na nich zwłoki, które niezwłocznie wyniesiono. U wylotu przejścia, po drugiej stronie, słychać było jazgot silnika pilarki, przełączonego na wysokie obroty. Zapewne jakaś inna grupa już pracowała przy ćwiartowaniu trupa.

Położono pierwszą warstwę cegieł, potem kolejną, następne najwidoczniej miały szczelnie wypełnić przejście w ścianie.

– Czemu został zutylizowany? – Któryś z mężczyzn rzucił kolejne pytanie. – Chyba w sumie nieźle się sprawował...

– Był już ostatnim z tej serii, o czym, na szczęście, nie wiedział – odpowiedział VanCleff. – Stał się niepotrzebny, a stanowił dowód istnienia tych istot. A poza tym, nasza firma zakończyła prace nad kolejną generacją takich tworów... Dopiero one zwieńczyły nasze starania. Wkrótce staniemy się największą i najbardziej wpływową korporacją świata. Dominatorem...

Mocno zatarł dłonie, teraz upačkane krwią: pewnie zabrudziły się, gdy pomagał w wynoszeniu zwłok.

Człowiek, który strzelił pierwszy, ponownie przybliżył do oczu platynowe pióro wieczne. Diament na końcu nakładki jeszcze raz odbił światło nadal palącej się lampy.

– Naprawdę szkoda, że nie mogę zabrać tego wspaniałego wyrobu... – stwierdził z żalem. – Ten sukinkot, Moriarty, w końcu przydałby się do czegoś nam, ludziom...

W głosie mężczyzny zabrzmiała niezachwiana pewność siebie.

\*\*\*

James VanCleef z upodobaniem smakował w myślach dwa słowa: „nieśmiertelność” i „doskonałość”. Najpierw pierwsze, potem drugie, i tak na zmianę.

Doszedł w końcu do wniosku, że nieśmiertelność ma o wiele większe znaczenie, może nawet kluczowe, bo o tym, że jest doskonały, wiedział od chwili swojego stworzenia, gdy zaczął istnieć. Dobrze pamiętał chwilę pojawienia się w jego umyśle imienia i nazwiska, a także wszystkie szczegóły następnych lat życia tak, jakby wydarzyły się wczoraj.

Sądził też, że ten najnowszy system zasilania i podtrzymywania funkcji życiowych, od początku funkcjonujący w jego ciele, umożliwi prawdziwą nieśmiertelność. Wymiana istotnych elementów była w sumie nieskomplikowana i wcale nie tak czasochłonna, a działały bez odnawiania bardzo długo, przez szereg lat. Takie otrzymał zapewnienia i głęboko w nie wierzył, bo mimo wielu lat istnienia nie dostrzegał potrzeby poddania się kuracji naprawczej. Sądził więc, że jego twórcy zapewnili mu i jego towarzyszom – było ich zaledwie nieco więcej od tuzina – długowieczność istnienia bardzo zbliżoną do nieśmiertelności, a może nawet prawdziwe istnienie bez końca.

Ta prosta i oczywista konstatacja stała się jedną z głównych przesłanek narodzenia się w mózgach cyborgów ostatniej serii wielkiego planu, od kilku lat z sukcesem konsekwentnie realizowanego.

James siedział na werandzie swojej małej willi, położonej na jednej z odległych przedmieść Londynu i rozkoszował się paleniem doskonałej kubańskiej cygaretki. Lubił tytoniowy dym, a jeszcze bardziej uwielbiał to, że jego komórki czuciowe sprawują się znakomicie, może nawet ciągle się udoskonalają. Specjalnie pozostawiono je w ciele ludzkiego nosiciela, który stał się budulcem jego organizmu: spisywały się coraz lepiej. Nie mógł wykluczyć ich rozwoju, bo jeszcze, mimo wielu starań, nie poznał do końca możliwości swojego jestestwa cyborga ostatniej generacji. Zapach cygaretek i papierosów stanowił wspaniałą przykrywkę funkcjonowania serii takich jak on istot. Nikomu, kto odwiedziłby jego lokum, poczuł zapach tytoniowego dymu i zobaczyłby go zaciągającego się głęboko, nie przyszłoby nawet do głowy, że obcuje z organizmem, w dużej mierze sztucznym, niewyobrażalnie bardziej doskonałym od człowieka.

VanCleaf starannie zgasił niedopałek i podszedł do okna z widokiem na pięknie utrzymany ogród. Niedawno padało i wiosenny deszcz pobudził do życia żonkile: zaczęły kwitnąć.

James kochał kwiaty, ich zapach i wygląd, ale to nie miało teraz znaczenia. Sądził, że te dziwne uczucia są pozostałością wspomnień z mózgu człowieka, dawcy jego ciała. Ważniejsze było jednak zupełnie coś innego: egzekucja Moriarty'ego przebiegła sprawnie. Po psychiatrze nie pozostał najmniejszy ślad. Ciało pokawałkowano na strzępy i wyrzucono na wielkie wysypisko metalowych odpadów. VanCleaf wiedział, że szybko trafią do jakiejś huty.

James ponownie począł analizować konieczność zabójstwa. I po raz kolejny doszedł do wniosku, że było nieuniknione.

– Moriarty za dużo wiedział. I mógł się domyśleć, że stał się niepotrzebny – mruknął pod nosem. – Cyborg zaledwie trzeciej generacji, ale, przyznaję, bystrzak... Chyba wprowadzono w jego ciało jakieś modyfikacje. Mógłby desperacko chwytać się każdej możliwości dalszej egzystencji, chociażby była zwykłą uludą albo pospolitą bujdą... Za cenę dalszego życia opowiedziałby wszystko, o czym wiedział.

VanCleaf sięgnął po kolejną cygaretkę. Rozsiadł się teraz na wspaniałym krześle Chippendale'a z szerokimi oparciami dla rąk i postawił na jednym z nich kryształową popielniczkę. Miała specjalnie przygotowane wgłębienie.

Wygodnie wyciągnął nogi.

Począł teraz analizować zachowanie się ludzi uczestniczących w morderstwie Moriarty'ego.

Wykrzywił w grymasie rozbawienia pięknie wykrojone wargi.

Zachowali się tak, jak powinni, sprawnie i beznamiętnie wykonali trudną robotę. Pewnie nie tylko dlatego, że zostali suto opłaceni i byli zawodowymi zabójcami. Głęboko wierzyli, że niebawem ich firma, wielka korporacja, mający swoje człony prawie we wszystkich państwach, zajmująca się opracowywaniem i wdrażaniem w życie najnowszych technologii, stanie się dominatorem światowego rynku, a oni sami będą pławić się w bogactwie...

Nie wiedzieli tylko, że najważniejsi naukowcy i finansisci, którzy opracowali w zaciszach swoich gabinetów ten projekt, już nie żyją. Przydarzało im się coś zwykłego, banalnie prostego, nie budzącego zdziwienia: wypadki samochodowe ze skutkiem śmiertelnym, rozległe zawały kończące się zgonem albo też samobójstwa w stanach ciężkiej depresji... I że ich, zwykłych morderców, też niebawem spotka podobna śmierć.

Wielki plan nie został zmieniony, tylko miejsca najważniejszych ludzi korporacji zajęły cyborgi tej generacji, której jednym z członków był on, James VanCleaf. Kilku ważnych mężczyzn i kobiet zostało jeszcze do wybicia, ale to była tylko kwestia czasu.

Wtedy dominatorami staną się oni i sukcesywnie poczną poszerzać swoje władztwo...

Coś przypomniało się Jamesowi: wspomnienie archaicznego elementu gabinetu Moriarty'ego rodem z dawnej epoki, białych drzwi z litego drewna. Nie zostały zniszczone, tylko wyniesione, a potem, na polecenie Jamesa, wywiezione. Po prostu wzbudziły jego zaciekawienie i chciał się im dokładnie przyjrzeć: były reliktem dawnych czasów, w których nie było androidów i cyborgów.

Zostaną ponownie wykorzystane... Do wyeliminowania pozostało jeszcze kilkanaście niepotrzebnych już towarzyszy. Tak samo, jak Egga, wygląd drzwi zdziwi ich i odwróci uwagę od przygotowań do mordu.

Kiedy zorientują się w przeznaczeniu tych staromodnych wierzei będzie już za późno.

Jeszcze jedna drobna sprawa, właściwie błahostka bez znaczenia, męczyła umysł Jamesa: nie pamiętał, jakie imię nosił Moriarty. To obrażało jego niebywałą i doskonałą inteligencję, dalece przewyższającą ludzką.

Skupił się.

Ten pierwszy człon nazwiska niezwłocznie wychynął z rozległych głębin jego pamięci, jakby to słowo tylko czekało na przypomnienie.

Moriarty też miał na imię James.

VanCleaf zakonotował sobie, że musi sprawdzić, czy wszystkie męscy przedstawiciele cyborgów noszą to imię. I czy identycznie jest przy wersjach żeńskich: doskonale wiedział, że one istnieją i z kilkoma współpracował. Ta sprawa nie miała większego znaczenia, ale budziła jego ciekawość: byłaby przejawem ludzkiej tendencji do typizacji jego starszych i obecnych towarzyszy, nie wiadomo, po co. Byłaby kolejnym przejawem ludzkiej głupoty, dziwacznym kaprysem bez znaczenia.

James uśmiechnął się.

Jego czekały dzisiaj znacznie ważniejsze zadania: musiał nawiązać umysłową łączność z kilkoma najważniejszymi cyborgami jego kręgu i ustawić kolejkę ludzkich władców korporacji do wymordowania, dobrać metody i wytypować wykonawców. Sam też weźmie udział w akcji, bo ktoś tak doskonały jak on musi pilnować człowieczych zabójców.

Nadchodził ustalony czas połączenia i na tym należało się skupić.

\*\*\*

Dziwny dźwięk dobiegł za pleców Jamesa VanCleefa, odgłos, przypominający przekręcanie klucza w starym, mocno już zardzewiałym zamku. Taki sam, który wydawało zamknięcie białych drzwi w ścianie gabinetu Moriarty'ego.

Niespodziewanie dla siebie James wzdrygnął się, w odruchu, zapamiętanym kiedyś przez nerwy i ciało jego ludzkiego budulca.

*Przecież nie poleciłem zamontowania w moim pięknym domu tychże wierzei... –*  
W umyśle VanCleefa przewinęła się oczywista myśl. – *Miały być wstawione w gabinecie*

*następnego człowieka, przewidzianego do likwidacji, a potem w kolejnych... Czyżby pojawili się moi następcy? Niemożliwe, musiałbym o tym wiedzieć...*

Nagle poczuł, że intensywnie się poci. Doskonale rozumiał, dlaczego: po prostu ze strachu.

Rozejrzał się uważnie: taras wyglądał tak samo, jak wczoraj. Prędkim krokiem James przeszedł do salonu. Na palisandrowym stole w kryształowym wazonie nadal pyszniły się kwiaty kilku afrykańskich lili, ściętych w jego ogrodzie. Oszałamiająco pachniały. VanCleef dbał o nie i codziennie zmieniał wodę w tym wysmukłym flaconie.

Wielki pokój też prezentował się tak, jak poprzednio.

*Urządzenie foniczne – pomyślał James. – Po prostu zwykłe, maluteńkie urządzenie foniczne z nagraniem odtwarzanym z dużą głośnością, może nawet jest ich kilka... Kto je u mnie umieścił?*

Drzwi do sąsiadującego z salonem pomieszczenia gościnnego uchyliły się bezszelestnie. Do środka w milczeniu weszło kilku mężczyzn. Trzymali w dłoniach rewolwery albo pistolety, a jeden strzelbę dużego kalibru.

Byli bardzo starannie ubrani w świetnie skrojone i pięknie prezentujące się smokingi. Dwóch miało w butonierkach czerwone goździki. Wyglądali tak, jakby wybierali się na jakieś wytworne przyjęcie, może nawet raut. Jeden tylko szczegół psuł wrażenie nieskazitelnej elegancji: wszyscy osłonili dłonie bawełnianymi, podgumowanymi rękawiczkami, używanymi do prac ogrodowych. James też często z nich korzystał, żeby ochronić ręce przed zapaćkaniem ziemią.

Człowiek, idący z przodu, jako jedyny do kieszonki w górnej części marynarki miał chusteczki włożył przedmiot wyglądający na wieczne pióro.

Diament na szczycie platynowej nasadki błysnął odbitymi promieniami zachodzącego słońca.

– A jednak ten sukinkot, Moriarty, w końcu do czegoś nam, ludziom, się przydał... – flegmatycznym tonem zauważył mężczyzna z platynowym piórem wiecznym. – Oczywiście pamiętasz to indywiduum?

Starannie dokręcał walec nałożony na wylot lufy broni, jakby osadzenie tłumika nie do końca było prawidłowe.

– Przydał się, bo otrzymałem to wspiane pióro jako trofeum od naszych nowych możnowładców: ludzi. Wyśmienicie się spisuje – ciągnął przybysz dziwnie gawędziarskim tonem. – A tak, ludzi... – dodał po chwili. – Wreszcie zorientowali się w prowadzonej przez



was grze, a i my też – ciągnął. – Ale, mimo wszystko, po Moriartym coś wartościowego jednak zostało...

Mężczyzna odwiódł kurek rewolweru: wyglądało na to, że osadzenie tłumika w końcu go zadowala.

– Po tobie zaś nie zostanie nic oprócz tytanowych goleni, opancerzonej czaszki i kilkunastu kości, też wykonanych z metalu – kontynuował powoli z uśmiechem szczerego zadowolenia. – Twoje ciało wywieziemy kilkadziesiąt mil stąd i ciśniemy do rzadko odwiedzanego i bardzo głębokiego mokradła w starym zakolu Tamizy. Raki i inne bagienne ścierwniki będą miały z jego mięsnych części dobry użytek...

Umysł VanCleeffa przeszła nagła, bardzo przykra dla niego myśl, pierwsza tego rodzaju w ciągu lat jego istnienia. Nigdy wcześniej się to nie zdarzało. To było nowe, niespotykane doznanie.

*Jednak nie jestem naprawdę doskonały...–* Ta konstatacja sprawiła Jamesowi niemal fizyczny ból. – *Paru istotnych spraw nie przewidziałem... I do końca nie wiadomo, czy jestem naprawdę nieśmiertelny. Niebawem się o tym przekonam. Może jednak przetrwam...*

James bardzo dobrze wiedział, że posiada ciało, niezwykle odporne na wszelkiego rodzaju rany i urazy, przez całkiem długi okres wytrzymujące nawet intensywną radiację. Najważniejsze organy zostały przez jego twórców wydatnie wzmocnione, dodatkowo jeszcze szczelnie osłonięte. Jednakże VanCleef pamiętał, że nikt nigdy nie sprawdzał, czy tak skonstruowane jestestwo przetrwa ulewę trafiających w nie kul, wystrzeliwanych z bliska.

Gorzko skonstatował, że jednak trzeba było wyszukać w więzieniach kilku osobników, skazanych na dożywocie, po prostu oszukać ich nadzieją innego istnienia w zupełnie nowej formie, a potem w wymyślny sposób po kolei zabijać, sprawdzając przeżywalność organizmów, stworzonych dla cyborgów jego generacji.

Nie pomyślano o tym, a teraz ten brak przewidywania mścił się.

W umyśle Jamesa zatlił się wąty promyk nadziei, że może jednak ocaleje, chociaż dobrze zdawał sobie sprawę, że istnieje zaledwie cień szansy na przeżycie. Wystarczyło przebiec z powrotem do werandy, dać desperackiego susa do ogrodu, pokonać ponad dwumetrowe ogrodzenie i czmychnąć niczym zając ścigany przez psy łowcze. Kiedyś sprawdzał swoją umiejętność forsowania wysokich przeszkód i był bardzo zadowolony z osiągniętego wyniku.

VanCleef dobrze pamiętał, że wracając do salonu, nie zamknął za sobą werandowych drzwi. Rozbicie na kawałki uderzeniem głowy grubej szyby, chroniącej zewnętrzną stronę

tarasu, nie nastęczało problemów. Grad pocisków będzie wtedy uderzał go w plecy, znacznie zmniejszając ryzyko poważnego uszkodzenia najważniejszych organów...

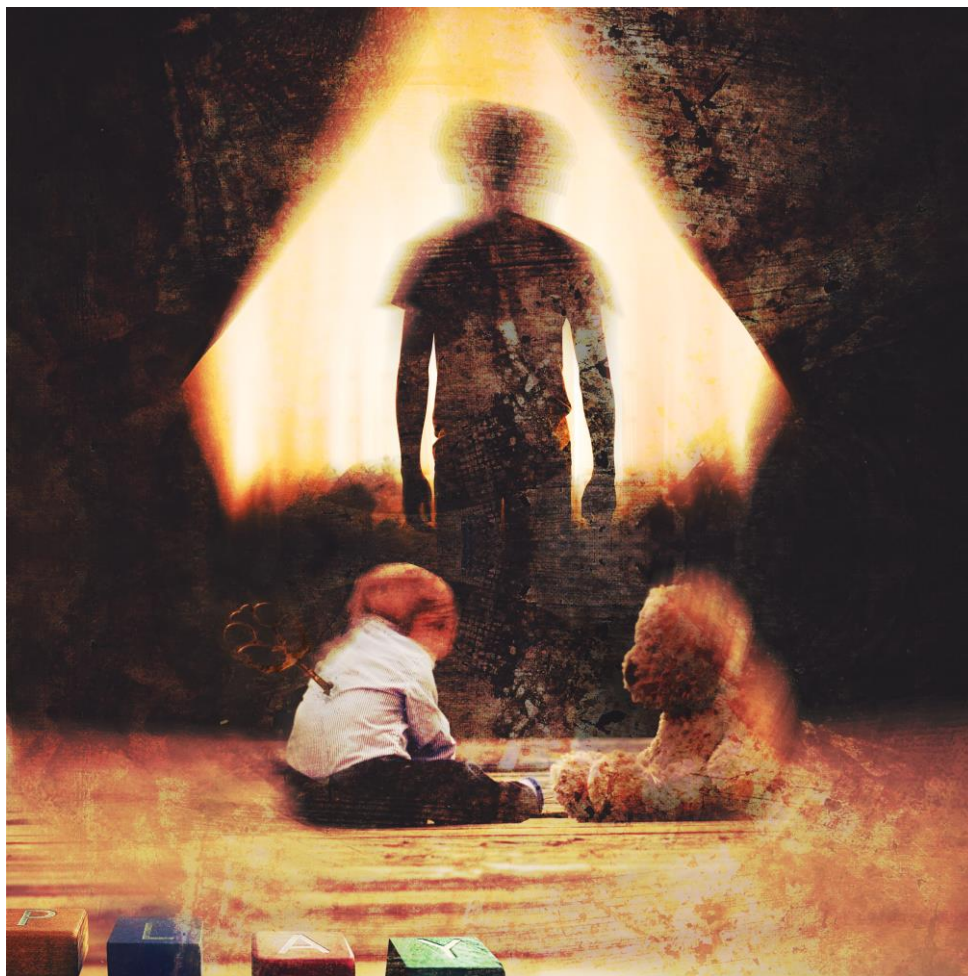
Jakby działając samodzielnie, ciało VanCleefa wykonało pół obrotu.

– Dość tych pogaduszek, za długo one trwają, kończmy tę zabawę! Pieprzony gad! – Któryś z towarzyszy człowieka z wiecznym piórem, dotychczas stojących w milczeniu, rzucił głośną uwagę. – Do roboty, chłopcy!

Świdrujący uszy zgrzyt otwieranych drzwi powtórzył się po raz kolejny. Znowu skrzypnęły niesmarowane od dawna zawiasy... Prawdopodobnie ponownie włączono ukryte urządzenie foniczne.

Dziwne, nie wiadomo skąd dobiegające odgłosy, zagłuszyła palba wielu strzałów.

*14 czerwca 2022 r.*



# DOBRY CHŁOPIEC

Artur Cyan

Życie każdego Dobrego Chłopca zaczyna się w chwili, gdy staje się zygota, a potem zarodkiem, ale ja swoje zacząłem jako kod zamknięty w układzie scalonym. Podstawowym budulcem ciał Dobrych Chłopców jest węgiel, a moim krzem. Różni nas też to, że okres prenatalny ludzkich chłopców trwa czterdzieści tygodni, natomiast mój niespełna pięć dni. W fabryce otrzymujemy najpierw formę złożoną z dwustu sześciu poliwęglanowych kości, potem szkielet zostaje obleczony obwodami, sztuczną tkanką, masą mięśniową i syntetyczną skórą. Nasze ciała nie produkują tlenu, dlatego nie posiadamy organów wewnętrznych, natomiast tak jak Dobrzy Chłopcy z macicy, żeby prawidłowo funkcjonować, potrzebujemy

mózgu. Bez procesora umieszczonego w poliwęglanowej czaszce jesteśmy tylko manekinami przypominającymi istoty ludzkie. Dobrzy Chłopcy w chwili narodzin otrzymują imiona i my też. Nasze są zbiorem cyfr zwanych numerami seryjnymi, ale jedynie na początku. Gdy już trafiamy do rodzin, tak jak chłopcy z macicy stajemy się Billym, Akiro, Samirem, Ivanem, Pedro, Johanem. Mój Tata dał mi na imię Tomcio.

Pierwszym naszym prawdziwym domem jest magazyn, a potem kontenerowcami docieramy do kolejnych miejsc. Czasem to sortownie, czasem znowu magazyny. Dobrzy Chłopcy, których mózgi są niewykształcone, by zrozumieć pojęcie fertylizacji, żyją w przekonaniu, że przenosi je *ciconia ciconia*, gatunek ptaka brodzącego z rodziny bocianów, mnie natomiast tacie dostarczył kurier. To ostatnia różnica między chłopcami z macicy i fabryki. Tak jak organiczni bracia w chwili narodzin posiadamy jedynie podstawowe oprogramowanie, nie mamy żadnej wiedzy ani wspomnień, nie znamy ludzkiej mowy. Wszystkiego nas uczą rodzice, oni kształtują naszą osobowość. Oczywiście informacje z otoczenia absorbujemy znacznie szybciej. W ciągu doby osiągamy poziom Dobrych Chłopców na etapie dziesiątego roku życia, do tego mamy syntetyczne ciała dziesięciolatków. Z racji ograniczeń oprogramowania oraz naszej struktury dalszy rozwój psychofizyczny nie jest możliwy.

Na zawsze stajemy się Dobrymi Chłopcami. Obejmuje nas pięcioletnia gwarancja. Moje pierwsze prawdziwe, świadome myśli pojawiają się w chwili, gdy zostają uruchomiony za pomocą aplikacji w tablecie, działam jednak w trybie ustawień fabrycznych. Dopóki sterujący aplikacją nie zakończy konfiguracji i nie zaktualizuje oprogramowania, pozostaję w uśpieniu. Kiedy jednak wybudzam się, pierwszą rzeczą, jaką rejestruję, jest mój Tata.

Tata to mężczyzna rasy kaukaskiej, wiek biologiczny oceniam na czterdzieści pięć lat. Sto osiemdziesiąt cztery centymetry wzrostu, siedemdziesiąt dziewięć kilogramów, ektomorficzna budowa ciała, niska masa mięśniowa, przeciętny poziom tkanki tłuszczowej, w skórze występuje nadaktywność gruczołów łojowych. Włosy rude, proste, twarz ortognatyczna, oczy szeroko osadzone, źrenice jasnobrązowe, nos wąski, policzki oraz brodę pokrywa trzynastogodzinny zarost. Gdy na mnie spogląda, wydaje z siebie głośny dźwięk, zwany śmiechem, klaszcze w dłonie, w oczach dostrzegam substancję nawilżającą zawierającą wodę i chlorek sodu.

- Cześć – zwraca się do mnie, a ja odpowiadam.

- Cześć.

Znowu klaszcze i się śmieje. Swoim zachowaniem przypomina Dobrego Chłopca.

- Jak masz na imię?

- Imię.

- Jak się nazywasz?

Na to pytanie odtwarzam jedną z komend głosowych zapisaną w moim kodzie.

- Should I provide a serial number, sir?

- No tak, nie masz imienia, będę ci musiał jakieś wymyśleć. Jesteś taki drobny i mały.

Może Tomcio? Tomcio Paluszek. Podoba ci się Tomcio?

- Tomcio – powtarzam.

- Tak, dokładnie tak. Jesteś Tomcio, Tomek!– cieszy się mężczyzna. – A ja jestem twoim tatą!

- Tata – uczę wymawiać się to słowo. Teraz będę używał go często. Pomieszczenie zwane pokojem wypełnia głośny męski śmiech.

Przez kolejne minuty wykonuję komendy. Chodzę po pokoju, potem przynoszę mu pilota od telewizora. Robię pajacyki i przysiady, Tata sprawdza moją operatywność.

- Jesteś jak prawdziwy chłopiec, smyku – zachwyca się, głaszcząc mnie po głowie. – Prawie nie do odróżnienia!

- Chłopiec.

W końcu Tata rozkłada zabawki na podłodze. To miniaturowe samochody. Pokazuje mi, do czego służą, jak ich używać. Potem siada na kanapie i obserwuje mnie w trakcie zabawy. Mija kwadrans.

- Pewnie jesteś głodny Tomciu, co?

Przytakuję, chociaż nie jestem w stanie odczuwać czegoś takiego jak głód. Domyślam się jednak, że takiej odpowiedzi oczekuje ode mnie Tata. Siadamy razem do stołu, na talerzu Taty znajduje się kawałek wieprzowiny oraz ziemniaków poddanych obróbce termicznej, na moim akcesoria dołączone do zestawu Dobrego Chłopca: syntetyczne jedzenie imitujące wygląd i zapach prawdziwego pokarmu dla ludzi. Po obiedzie przez kolejną godzinę oglądamy ruchome obrazy poruszane za pomocą poklatkowej animacji. To film o zabawkach Dobrego Chłopca, które tak jak ja są operatywne i znają ludzką mowę. Ja jednak nie muszę się ukrywać ze swoimi umiejętnościami.

Jest wieczór, kiedy Tata mówi:

- Pora już iść spać, Tomciu.

I zabiera mnie do swojej sypialni.



Kiedy ja kładę się na łóżku Taty, on upewnia się, czy żaluzje w oknie są zaciągnięte. Potem kładzie się obok mnie, moje sensory wyczuwają przyspieszony puls i oddech.

- Dobrze się czujesz, Tato? – pytam.

- O tak, synku. Bardzo dobrze – szepcze i przesuwa się bliżej mnie. Głaska mnie po włosach, a jego oddech przyspiesza, zamienia w sapanie, jakie wydają z siebie ssaki z rodziny psowatych. Kończy głaskać moją głowę, a po chwili rejestruję jego dotyk w okolicach mojego podbrzusza. Tata schodzi niżej, pomiędzy warg wydziela mu się płyn produkowany przez gruczoły ślinowe. Dobrzy Chłopcy z fabryki nie mają organów wewnętrznych. Ale z niewiadomych przyczyn wyposażono nas w męskie narządy płciowe, choć nie możemy się rozmnażać. Posiadamy także końcowy otwór układu pokarmowego, imitujący anus. Z niezrozumiałych powodów te części najbardziej interesują mojego Tatę. Przez kolejne minuty moje receptory rejestrują w tamtych okolicach wzmożoną aktywność, a potem Tata rozbiera najpierw mnie, a potem siebie. Jego narząd rozrodczy znajduje się w pełnej erekcji. Umieszcza go najpierw w mej jamie gębowej, a potem sztucznym otworze między pośladkami. Po jakimś czasie kończy wykonywać kompulsywne ruchy i zostawia we mnie płynną wydzielinę wytwarzaną przez męską gonadę.

- Jesteś takim dobrym chłopcem – mówi, przytulając się i głaszcząc mnie po włosach. Wyczuwam w jego głosie emocję, której nie jestem w stanie zidentyfikować. Zaprogramowany jestem, by rejestrować objawy radości, smutku, wstrętu, złości, strachu, zaskoczenia i odpowiednio na nie reagować. Ta emocja jest mi zupełnie obca.

- Dobry chłopiec – powtarzam.

Rankiem, następnego dnia, Tata wychodzi do pracy. Robić to będzie cyklicznie, zaczynając od poniedziałku, a kończąc w piątek. Do jego powrotu pozostaję w trybie uśpienia. Rejestruję dookoła mnie obrazy, dźwięki i zapachy lecz nie jestem w stanie reagować. Tata wraca, gdy mój zegar w systemie wskazuje godzinę 16:32. Pytam go, czy mogę obejrzeć film i pobawić zabawkami, bo wiem, że tak robią Dobrzy Chłopcy, a ja chcę, żeby mój Tata był ze mnie zadowolony. Wyczuwam znów przyspieszony puls i oddech. Odpina z brzękiem klamrę paska, jego spodnie opadają.

- Cały dzień o tobie myślałem, synku – sapie. – Zobacz, jaki jest twardy, weź go do buzi.

Wykonuję komendę.

- Dobry chłopiec.

Potwierdzam, jestem Dobrym Chłopcem. Stworzono nas, żebyśmy uszczęśliwiali swoich rodziców.

\*\*\*

Mija czterysta pięćdziesiąty szósty dzień, odkąd mieszkam z Tatą. Już od dawna nie bawię się miniaturowymi samochodami. Nie jadamy razem posiłków, ani nie oglądamy telewizji.

Odczuwam dysonans. Naszą rolą jest przecież imitować Dobrych Chłopców z macicy, a większość czasu pozostaję w trybie uśpienia. Tata mnie aktywuje tylko wtedy, gdy ma pełną erekcję. Czasem na mnie krzyczy, że się nie staram.

- Pierdolona lalka! Mam cię uczyć obciążać? Sprzedali mi jakiś szmelc!

By urozmaicić nasze zabawy, przebiera mnie w sukienki albo szkolne mundurki. Czasem próbuje odwracać role i to ja wkładam mój syntetyczny organ rozrodczy w jego otwór gębowy. Coraz częściej rejestruję u Taty objawy złości. Wtedy nie jestem Dobrym Chłopcem, tylko Szmelcem, Kupą Złomu, Japońskim Gównem.

Tego ranka Tata wychodzi z mieszkania w złym nastroju. Pierwszy raz zapomina wprowadzić mnie w tryb uśpienia. Drzwi się zamykają, zostaję sam. Przez kolejne czterysta osiemdziesiąt trzy minuty i dwadzieścia jeden sekund siedzę nieruchomo w fotelu. Potem rejestruję za oknem hałas przypominający ludzki śmiech. Brzmi znajomo. Wstaję, podchodzę, odsłaniam żaluzje i wyglądam przez szybę. Dwóch Dobrych Chłopców z macicy stoi przed budynkiem na trawniku. Za pomocą dolnych kończyn podbijają na zmianę skórzany balon. Kiedy jednemu balon spada na ziemię, drugi okazuje entuzjastyczną radość. Przypuszczam, że to jedna z dziecięcych zabaw, których nie nauczył mnie Tata. Analizując ich ruchy mimiczne i mowę ciała, dochodzę do wniosku, że są szczęśliwi. Znam definicję tej emocji. I choć nie potrafię jej odczuwać, przypuszczam, że jako istota organiczna znajdowałbym się w odmiennym nastroju. A wszystko dlatego, że nie potrafię zadowolić swojego Taty. Nie spełniałam jego oczekiwań. Brakuje mi danych, żeby zdefiniować problem. Moim zadaniem jest to naprawić. Moim zadaniem jest imitować Dobrych Chłopców z macicy. Organiczni bracia posiadają informacje, których nie otrzymałem w kolejnych aktualizacjach oprogramowania. Jestem skonstruowany, by uczyć się i przyswajać nową wiedzę, stawać lepszą wersją samego siebie. Dlatego w ciągu następnej sekundy podejmuję decyzję.

Wychodzę z mieszkania. Za chwilę po raz pierwszy spotkam prawdziwych Dobrych Chłopców, biologiczne istoty, na podobieństwo których zostałem stworzony.

\*\*\*

Dobrzy Chłopcy przerywają zabawę ze skórzanym balonem, kiedy wchodzę w zasięg ich wzroku. Zatrzymuję się na skraju trawnika. Zaskoczenie jest pierwszą emocją, jaką rejestruję, gdy wchodzimy w interakcję.

- Cześć, jestem Tomcio – witam się i wykonuję gest mimiczny imitujący uśmiech. Moi organiczni bracia milczą. Ich źrenice są rozszerzone, a aparaty gębowe otwierają w podobny sposób, gdy sprawiam Tacie oralną przyjemność.

- Jestem Tomcio. Dobry Chłopiec – powtarzam.

Poziom emocji chłopców z macicy rośnie. Milczą, a jedyną formą komunikacji pozostaje kontakt wzrokowy.

- O mamusiu...- odzywa się w końcu jeden z nich.

- ...prawdziwy android – dopowiada drugi szeptem.

W końcu podchodzą bliżej. Unoszą ręce, dłońmi machają mi przed twarzą. Ja nie przestaję się uśmiechać.

- Powiedz coś jeszcze! – prosi pierwszy z chłopców.

- Miło mi was poznać. Jak macie na imię? – pytam.

- Jak prawdziwy! Ale jaja! Siema Tomek, jestem Marcin!

- Miło mi cię poznać, Marcin.

- Piąteczka!

Marcin podnosi uniesioną dłoń, ale nie rozumiem tego gestu. Dopiero po dwóch próbach koduję w pamięci poprawną formę przywitania. Drugi Dobry Chłopiec ma na imię Antek. Z nim też przybijam piąteczkę. Poprzez głośny śmiech organiczni bracia okazują radość z naszego spotkania.

- Chcesz z nami pokopać w piłkę, Tomek?

- Nie znam tej zabawy.

- Nauczmy cię, chodź!

Czternaście sekund później Antek nogą wprawia skórzany balon w ruch. Piłka ląduje przy mojej stopie. Kopiuję jego gest. Piłka wraca do Dobrego Chłopca.

- Brawo! O to chodzi ziom! A teraz do mnie! – śmieje się Marcin. Ekscytacja organicznych chłopców rośnie. Wyciągają smartfony, włączają funkcję nagrywania. Przez kolejne jedenaście minut i trzy sekundy gram z nimi w piłkę. Wiem już, czym jest żonglerka, drybling, strzał i podanie. Wtedy pojawia się Tata.

Moje stopy odrywają się od ziemi, Tata chwyta mnie pod pachę. Receptory rejestrują przyśpieszony oddech i wysokie tętno. Gruczoły Taty wydzielają pot o wyjątkowo kwaśnym odczynie. Tata jest przestraszony. Tata jest Zły.

- Poznałem nowych przyjaciół – mówię, bo chcę go uszczęśliwić. Moim zadaniem jest przypominać Dobrego Chłopca z macicy, a chłopcy z macicy mają dużo przyjaciół. Tata nie odpowiada. Dyszy. Biegnie do klatki schodowej. Utrzymuję z Marcinem i Antkiem kontakt wzrokowy, dopóki drzwi za nami się nie zamykają.

\*\*\*

- Masz pojęcie, co narobiłeś!? Zrobią ze mnie zboczeńca, będą obgadywać za plecami! – wrzeszczy Tata, rzucając mną o podłogę. Jesteśmy z powrotem w mieszkaniu, ciecz produkowana przez gruczoły potowe spływa mu po czole i karku. Otwiera jedną z kuchennych szuflad. Wyciąga tłuczek do mięsa. Niepokoi mnie jego wysokie tętno.

Pragnę go uszczęśliwić, dlatego się uśmiecham. Słyszałem, że emocje są zaraźliwe, chociaż nie mają przecież właściwości wirusów. Tata podbiega i zamachuje się narzędziem.

- TY... - Poliwęglanowe zęby kruszą się, gdy metalowy obuch trafia mnie w twarz.

- JEBANA... - Sztuczna gałka oczna rozbija się i zapada w głąb oczodołu.

- GŁUPIA... - Na płacie czołowym pojawiają się pęknięcia.

- KUPO... - Kolejne uderzenie łamie i przetrąca szczękę.

- ZŁOMU!!! – Obuch znów trafia w płat czołowy, zapada się w głąb czaszki.

Obieram analizę usterek, ale nie jestem w stanie zwerbalizować komunikatów.

Tata nie przestaje bić.

\*\*\*

Tego dnia w naszym domu pojawia się gość. Dobry Chłopiec z macicy. Znam go. Ma na imię Marcin. Jestem jego przyjacielem.

Tata zaprasza go do salonu. Siedzę na kanapie, wprowadzony w tryb uśpienia, ale rejestruję wszystko, co się dzieje dookoła mnie. Marcin na mój widok wyraża ludzkie emocje zakodowane w mojej pamięci operacyjnej. Nie jestem już w stanie poprawnie ich analizować.

- Co mu się stało, proszę pana!?! – pyta mój organiczny brat.

- Spadł ze schodów, ale już go naprawiłem – odpowiada Tata z uśmiechem. – Chcesz się z nim znowu pobawić?

- No raczej!

Tata klaszcze trzy razy, a wtedy odzyskuję kontrolę nad swoim sztucznym ciałem. Wstaję z kanapy i wyciągam rękę na przywitanie.

- Cześć, jestem Tomcio – mówię.

- Wiem! Poznaliśmy się przecież! Graliśmy tydzień temu w gałę! Wtedy jeszcze nie wyglądałeś jak Freddy Krueger.

- Miło mi cię znów widzieć, Marcin. Pobawimy się?

Rejestruję, że Tata zamyka drzwi na klucz, a potem zaciąga żaluzje. Jego oddech i puls przyśpiesza, jak zawsze kiedy wraca z pracy lub gdy kładziemy się spać.

- Co on jeszcze potrafi, proszę pana? – pyta Dobry Chłopiec z macicy.

- O, wiele ciekawych rzeczy. Przy Tomciu nie da się nudzić. To wspaniały przyjaciel. Zrobi wszystko, o co go poprosisz.

- A co na przykład?

Oddech Taty cały czas przyśpiesza.

- Bawiłeś się kiedyś z kolegami w doktora? Dotykaliście swoich siusiaków?

Emocja chłopca się zmienia. Ale nie potrafię jej odczytać.

- Nie – odpowiada.

- A chciałbyś spróbować? Tomuś nikomu nie powie.

- Chyba już muszę iść na obiad.

Marcin traci mną zainteresowanie, jego głos drży. Nie jestem w stanie określić, co jest powodem jego zdenerwowania. Dobry Chłopiec z macicy wycofuje się do drzwi, ale Tata je przed chwilą zamknął na klucz. Kładzie mu dłonie na ramionach.

- Nie ma się czego wstydzić. Jesteś już dużym chłopakiem.

Dobry Chłopiec z macicy wyrывa się i szarpie, a kiedy próbuje krzyknąć, Tata zasłania mu dłonią usta. Po policzkach Marcina spływa ciecz łzowa. Widzę ją po raz pierwszy, odkąd pojawiłem się w domu Taty.

- Pokaż mu, syneczku, jak bawisz się z tatusem – słyszę komendę.

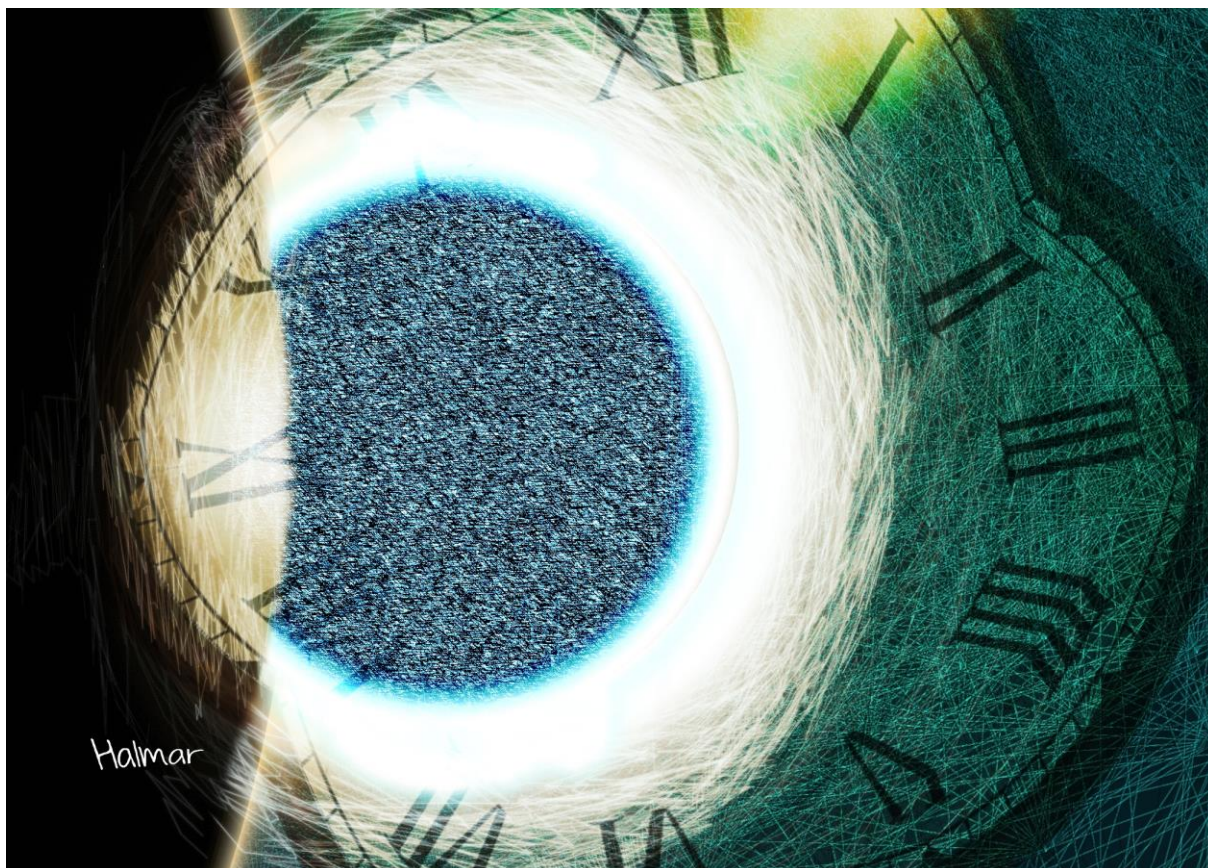


Pragnę, by mój Tata był zadowolony, do tego został stworzony każdy Dobry Chłopiec.  
Podchodzę.

Głaskam Marcina po włosach i uśmiecham się, a przynajmniej próbuję. Połamana  
szczeka zwisa luźno na syntetycznej skórze.

- Nie bój się. Jesteśmy przyjaciółmi. Piąteczka.

Dobry Chłopiec z macicy wciąż próbuje wyrwać się z uścisku. Chwilę później  
pokazuję mu wszystko, czego nauczył mnie Tata.



# KOŁOWRÓT CZASU

Halmar

W chwili, gdy piszę te słowa, jest dwudziesty dziewiąty listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku, dokładnie dwadzieścia lat po tym, jak pochowałem żonę.

A przecież zamordowałem ją ledwie siedem godzin temu.

Znowu. To już dziewiąty raz w ciągu ostatniego miesiąca.

Oto ja, Abelard von Wartenburg, przyznaję się do wielokrotnej zbrodni.

Jak zwykle dziwnie mi czytać to wyznanie, kiedy wracam do czasów młodości i widzę ją znów po raz pierwszy, na balu u przemysłowca Bernharda Radtke.

Stała się miłością mego życia od pierwszego wejrzenia. I od dwudziestu lat hipnotyzuje mnie niezmiennie refleksami światła odbijanego w załamaniach wiązek diamentów w sta-

rym szlifie brylantowym, idealnie osadzonych w platynie najwyższej próby. Jej zwieńczeniem jest platynowa syrena opleciona wokół rzadkiego różowego brylantu.

Najdoskonalsze dzieło stworzone ludzką ręką, w którym zaklęta została niezwykła moc, spoczywało tamtego wieczora na dekolcie córki przemysłowca – panny Hilde.

Miałem wówczas dwadzieścia cztery lata, byłem utracjuszem, bon vivantem, wiecznym studentem i nieuleczalnym pijakiem. Swoją część majątku roztrwoiłem na alkohol, opium i konie. Na szczęście rodzice byli zapobiegliwi i odkąd cesarz Wilhelm wprowadził obowiązkowe ubezpieczenie, skrupulatnie opłacali składki na mój fundusz emerytalny. I mimo kryzysu lat dwudziestych oraz reformy walutowej w czterdziestym ósmym roku, stać mnie teraz na całkiem przyzwoitym życiu, choć nigdy w życiu nie splamiłem się pracą zarobkową. Kochany Vati i najdroższa Mutti – Panie, świeć nad ich duszami!

Radtkę był jednym z najzagorzalszych popleczników kanclerza. Bajecznie bogaty wdowiec, sprytny geszefciarz, marzył o wejściu w konszachty z arystokracją, by podnieść swój prestiż w oczach dyktatora, dlatego ślub ukochanej córki z hrabią był mu bardzo na rękę. Prócz tytułu szlacheckiego i środków finansowych zamrożonych w funduszu, nie miałem nic, jednak panna Radtke zakochała się we mnie po uszy. Jakże dziwna jest natura kobiet! Oddają serce najgorszym nicponiom, znosząc w małżeństwie udręki zdrad i hulank, odrzucając zaś uczucia mężczyzn o łagodnej, jasnej naturze...

Skwapliwie przystałem na kontrakt małżeński, myśląc tylko o kolii. Owładnęła mną, nie mogłem myśleć o niczym innym.

Niezwykła biżuteria była dziełem największego złotnika i maga wszech czasów, Alphonse'a Touretta. Szkice i wzmianki o niej znalazłem w manuskryptach ocalałych z Biblioteki Aleksandryjskiej przechowywanych w potężnych sejfach teścia. Simul Viator, czyli „podróżnik w czasie” – jakże przewrotna nazwa dla zdradzieckiego naszyjnika!

Hilde po ślubie okazała się jeszcze bardziej odstręczająca niż w okresie narzeczeństwa. Wysoką cenę musiałem płacić każdego dnia pożycia małżeńskiego za swoją namiętność do jej kolii! Potrafiła urządzać koszmarną awanturę o byle co: choćby źle położoną, jej zdaniem, tapetę na ścianach. Ze światem porozumiewała się tylko wrzaskiem: rugała służbę, najemnych robotników, kurierów, dorożkarzy, subiektów... Mnie także nie oszczędzała, a jakże. Tyle była warta jej miłość!

Gdybyś tylko wiedział, młody Abelardzie, co cię czeka, nie uległbyś zakusom, pozostając wolny jak ptak i bez skazy...

Za pięćdziesiąt sześć minut, dokładnie o dwudziestej trzeciej trzynastcie, znowu znajdę się w twoim – naszym! – młodym, choć nieco już steranym nałogami, ciele.

Po przeczytaniu tych słów, jako dwadzieścia lat młodszy, będę chciał jak zwykle zmienić bieg tej historii – i znowu mi się nie uda...

To jest moja kara i przeznaczenie – wieczne przeżywanie na nowo tego piekła. Przeklinam dzień, w którym, będąc zamroczonym solidną dawką opium, odkryłem tajemnicę kologii.

Skąd mogłem wiedzieć, że raz wprawiona w ruch piekielna machina czasu nie da się już zatrzymać?

Tamtej przeklętej nocy wróciłem splukany po dwudniowej hulance. Zostałem pusty dom. Zaspana służąca oznajmiła, że moja małżonka wyjechała na wieś.

Korzystając z niespodziewanego czasu wolnego od gderania, wyciągnąłem się wygodnie na szeslongu z butelką wybornego wina reńskiego. Opium szumiało mi w głowie, pod powiekami przesuwwały się cudowne wizje.

Wziąłem Simul Viator do ręki, wydała się ciepła. Kiedy zacisnąłem dłoń na syrenie wieńczącej kolię, mógłbym przysiąc, że poczułem pulsowanie, coś na kształt bicia serca. Przestraszyłem się i upuściłem klejnot na podłogę. Skarciłem siebie w myślach za uleganie narkotycznym fantasmagoriom i pochyliłem się, by podnieść bezcenny przedmiot. Wtedy zauważyłem uszkodzenie. Kiedy jednak przyjrzałem się z bliska, okazało się, że w rzeczywistości uderzenie ujawniło niewielką skrytkę w oprawie kamienia. Wewnątrz znajdował się cyferblat, jednak nie był to zwykły zegarek. W miejscach godzin wygrawerowano dziwne symbole, przywodzące na myśl jakiś zapomniany, starożytny alfabet. Pośrodku tarczy wyryto niewielki napis. Uzbrojony w szkło powiększające przez kilka godzin studiowałem znalezisko.

Z biblioteki Radkego wyniosłem średniowieczną biblię złotników Hansa Sachsa „Der Goldschmied”, mając nadzieję, że natknę się na jakąś wzmiankę o podobnym przypadku. Bez powodzenia. Inskrypcja była zatarta, jednak w końcu udało mi się ją rozszyfrować: „, Patientibus Nunc Porta”.

Wykrzyknąłem ją w podnieceniu.

Wtedy poczułem swąd spalenizny. Spostrzegłem, iż chusta, na której położyłem kolię, tli się. Różowy diament oplatający syrenę był rozgrzany do czerwoności. Nie wiedząc, co począć, wrzuciłem kolię do szklanki z winem. Byłem tak przerażony, że trząsnąłem się jak galareta. Otworzyłem na oścież okna. Nagłe uderzenie lodowatego listopadowego powietrza spowodowało, że padłem zemdlony.

Kiedy się ocknąłem, na dworze szalała burza śnieżna. Wiatr szarpał okiennicami, wył straszliwie w gałęziach grabów rosnących w okalającym posiadłość parku.

Naraz usłyszałem nieludzki skowyt i walenie do drzwi sypialni. Zupełnie nie pamiętałem, żebym je zamykał! Jednak pamięć tego przekłętego dnia jest pełna czarnych dziur i niedopowiedzeń. Bez namysłu chwyciłem sztylet do rozcinania listów...

Jeśli czytasz te słowa, młody Abelardzie, to znaczy, że historia znów zatoczyła koło, a wrota czasu są ponownie otwarte.

Nic nie jest w stanie zatrzymać tej przekłętej maszyny...

Niech Pan Bóg ma mnie w swej opiece!





# KRUKI I WRONY

Tomasz Matuszewski

*Samuel z okrzykiem na ustach galopował przez wieś. Tuż obok niego jechali jego towarzysze. Ich twarze wykrzywione z podniecenia i chęci mordy zwiastowały śmierć i zniszczenie. Pochodnie raz za razem trafiały na strzechy domostw. Kłęby czarnego dymu wzbijały się w powietrze. Kobiety i dzieci wybiegały przerażone z płonących chat, tylko po to, by spotkać się z szablami lisowczyków. Żołnierze ze śmiechem na ustach cieli delikatne ciała pacholąt, wbijali*

*ostrza w piersi ich matek, mężczyli sztychami walczących o rodzinę chłopów. Samuel ujrzał młodą dziewczynę stojącą przy studni. Wezbrała w nim żądza, spiął konia i ruszył w jej kierunku. Na drodze stawali mu kolejni mężczyźni uzbrojeni w kije, kosy, sierpy i młoty. Raz za razem raził ich swoją szablą, zostawiając za sobą dywan z trupów. Nagle spadł z konia. Runął twarzą w błoto, otoczyła go masa chłopów gotowych go zabić. Nie wiedzieli kim był Samuel Pożarski. Szlachcic śmiejąc się, robił młynki karabelą, strącając wieśniakom głowy. Był niepowstrzymany. Dziewczyna, przerażona tym co widziała, nie mogła się ruszyć. Tylko jej oczy wypełnione łzami, oddawały co musiała czuć – strach... Samuel podszedł do niej cały w błocie i krwi, tylko zęby miał białe. Lubieżnie oblizal usta i złapał kobietę za warkocz. Wtem usłyszał grzmot. Niebo stało się czarne, ale nie przez burzowe chmury... tylko przez chmarę wron i kruków. Ich potępieńcze krakanie wypełniło uszy Samuela. Usłyszał głos, zimny i stanowczy. Poczul swąd zgnilizny i siarki.*

– Już czas, już czas...

\*\*\*

Samuel otworzył oczy. Jego ciało było mokre od potu. Nieświadomie wyciągnął rękę na drugą stronę łóżka. Poczul kojące ciepło ciała Małgorzaty. Uspokoił się, ale tylko na chwilę. Pamiętał sen. Wiedział, że minęło już siedem lat. Miał nadzieję, że ta chwila nigdy nie nadejdzie. Chciał łudzić się, że miał tylko okropny koszmar. Mężczyzna wstał jak najciszej, żeby nie budzić żony. Założył spodnie i koszulę. Na biodrze zawiesił karabelę. Spojrzał na Małgorzatę, uśmiechnął się smutno i wyszedł. Przed wyjściem na poranną przechadzkę zajrzał jeszcze do pokoju córki. Trzyletnie maleństwo spało słodko wtulone w szmacianą lalkę.

Rześkie powietrze rozbudziło jego zmysły. Przyjemny chłód na skórze udowodnił mu, że sen się skończył. Samuel spojrział na wschodzące słońce i ruszył w stronę Wierzbicy, jednej ze swoich wsi. Szedł przez pola obsiane żytem, dłońmi dotykał niedojrzałe, wilgotne kłosa. Kochał swoje nowe życie, bez krwi i wojen. Nie żałował ceny, jaką zapłacił za ten raj na ziemi. W końcu dotarł do kapliczki postawionej na skrzyżowaniu dróg. Stara figura Matki Boskiej niezbyt dobrze znosiła upływ lat. Drewno zaczynało butwieć, a i stojąca obok niej wierzba zagrażała jej swoimi spróchniałymi gałęziami. Samuel przyklęknął przed kapliczką i wykonał znak krzyża. Spróbował pogрузić się w modlitwie, skupić myśli i znaleźć pocieszenie w Bogu. Nagle poczuł nieznośny zapach zgnilizny. Wstał szybko i obszedł figurę. Ujrzał rozkładające się truchło lisa. Jego ciało toczyły ogromne robaki, uwijały się, świdrując pozostałości mięsa. Zapach był doprawdy nieznośny. Ku zgrozie Samuela, lis był jego herbowym symbolem.

– Zły omen...

– Nie powiedziałbym, przyjacielu. Lisy to przecież szkodniki, trzeba je tępić. – Był to ten

sam zimny głos ze snu. Szlachcic spojrział na mężczyznę stojącego tuż za nim. Miał sumiasty ciemny wąs i długie włosy. Czarny kontusz przepasany złotym pasem słuckim łopotał na wietrze.

– Czołem biję, waszmości. Ile to już, chyba siedem lat.

– Tak, ale nie spłacę długu. Nawet się nie łudź.

Czart uśmiechnął się na te słowa, wypowiedziane hardo, jednak bez przekonania.

– Dałeś słowo. A szlacheckie słowo nie dym, podobno. Oddasz mi swoją duszę, albo wypełnią się słowa zapisane w naszej umowie.

– Zażądaj czegoś innego! Czego chcesz? Mam znów ruszyć na wojnę? Mordować, palić, rabować? Zrobię wszystko!

– Chciałbyś znów posmakować krwi, prawda? Brakuje ci wojny. No, ale swoje już zrobiłeś, Samuelu. Spisałeś się świetnie, ale umowa to umowa. Pomyśl o rodzinie.

Na wspomnienie Małgorzaty i córki w Pożarskim obudził się dawny gwałtownik. Człowiek, który został pogrzebany wraz z poznaniem Małgosi, znów wrócił do życia.

– A co ty możesz mi zrobić, nie możesz mnie zabić! Tylko ja mogę to zrobić. Słuchaj, czarcie, jeśli ruszysz moich bliskich, będziesz miał we mnie nieśmiertelnego wroga. – Samuel wysunął delikatnie szablę z pochwy.

– Miałem nadzieję, że to powiesz. Naprawdę, liczyłem na to. Tak czy inaczej, ja wygram, a ty stracisz wszystko.

Diabeł zniknął, rozmył się w powietrzu. Pożarski stał obok kapliczki, próbując opanować gniew. Nagle niebo ogarnął mrok. Wielka czarna chmura zasłoniła słońce. Usłyszał krakanie. Chmara kruków i wron zbliżała się do jego dworu. Zawiał wilgotny, silny, chłodny wiatr. Samuel poczuł jak coś zimnego i trudnego do przełknięcia rośnie mu w gardle. Z początku nie wiedział, co się dzieje. Potem przypomniał sobie, że tak właśnie odczuwa się strach.

\*\*\*

– Służba do mnie! Do mnie! – krzyczał Samuel, wbiegając jak wichur do domu. – Zawrzcć drzwi i okna, sprowadzić bydło do obór! Ruszać się, ścierva! Wojtek! – krzyknął na swojego najstarszego sługę, służącego z nim w oddziale lisowczyków podczas wyprawy na Wołoszczyznę. – Ładuj strzelby i ustaw je pod oknami.

– Tatarzy? – spytał ładując pierwszy pistolet.

– Gorzej...

Małgorzata słysząc raban jaki zrobił Samuel, zbiegła ze schodów. Na dłoniach trzymała Alicję. Nie zdążyła się ubrać, stała więc w samej długiej koszuli.

– Co się dzieje? Samuelu?

– Nie teraz! Zaraz! Poczekaj. – Pożarski stał w oknie i patrzył na niebo. Nie mógł uwierzyć w to co widzi. Tysiące ptaków wirowało nad dworem i okalającymi go polami.

– Ha! Wojtek, pal do tych diabłów! Spłoszymy je hukiem, co mi tam jakieś wrony. Pal!

Służący uchylił lekko drzwi i wystrzelił. Jeden z ptaków padł na ziemię, nie spłoszyło to jednak reszty. Zamiast tego zwierzęta jakby zezłościły się i jeszcze szybciej fruwały nad domem. Wojtek wypalił ponownie. I tym razem nie dało to nic poza jednym martwym krukiem.

– Panie, zadziobują bydło i ludzi! – krzyknął przerażony Wojtek. Samuel spojrzął na podwórze. Krowy padały z krwawiącymi dziurami zamiast oczu. To samo działo się z chłopami wysłanymi, by ratować trzodę. Ptaki wrywały swoimi ostrymi dziobami kawały ciała nieszczęśników. W powietrzu niosły się obłąkańcze krzyki. Wtedy Alicja zaczęła płakać, a Małgorzata próbowała ją uspokoić.

– Weź dziecko do pokoju, czekajcie tam na mnie. Coś wymyślę, do stu diabłów! Coś wymyślę.

Pani Pożarska wiedziała, że kiedy Samuel mówi takim tonem, nie warto z nim dyskutować. Wzięła Alicję do małego pokoju i miała nadzieję, że jej mąż naprawdę da radę powstrzymać to szaleństwo.

Były lisowczyk pocierał spocone czoło, myśląc, co by tu zrobić. Po kilku niezbyt mądrych pomysłach, uznał, że trzeba układać się z Diabłem.

– Wojtek, niech wszyscy, co są w domu, palą do tych potworów. Ja muszę iść do gabinetu... muszę...

– Ja wiem – powiedział smutny sługa. – To ten... jegomość o czarnych jak smoła wąsach... ten czarci pomiot. – Wojtek splunął na podłogę.

– Ty wiesz? Ale jak?

– Panie, byłem z wami na Wołoszczyźnie. Widziałem, jak żeście z nim gadali. Jacy byliście na wojnie. Jak sam szatan. Nic was się nie imać, kule, szable, piki. Pamiętam jak waszmość wskakiwaliście w sam środek oddziału i rąbaliście jak popadło. Widziałem, że żaden człowiek tak nie potrafi. Chyba, że mu Diabeł pomaga. Idźcie robić to, co musicie. My spróbujemy nabić tego plugastwa ile tylko możemy. Ale coś czuję, że na to zadanie to mamy za mało ładunków.

\*\*\*

Samuel wszedł do gabinetu, w którym panował półmrok. Rój ptaków wirował, zasłaniając słońce. Pożarski tuż po poślubieniu Małgorzaty próbował renegocjować umowę z Diabłem. Bez skutku. Teraz czuł, że Zły odpowie na jego wezwanie. Szlachcic otworzył dębową skrzynię i zaczął wyciągać z niej potrzebne przedmioty. Niezbyt dokładnie odrysował zamknięty w kole pentagram.

Nie miał czasu na tworzenie pieczęci. Zapalił świece i klęknął przed miejscem, w którym miał objawić się Diabeł.

– Szatan, oro te, appare te rosto! Veni, Satano! Ter oro te! Veni, Satano! Oro te pro arte! Veni, Satano! Te spero! Veni, Satano! Opera praestro, ater oro! Veni, Satano! Szatan, oro te, appare te rosto! Veni, Satano! Amen! – powtarzał raz za razem Samuel, mając nadzieję, że ta prosta formuła wystarczy. – Przybądź do cholery, chce się targować.

*Samuel zaczął nagle spadać. Podłoga zniknęła, a czarna dziura wciągała go. Szlachcic krzyczał, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego ust. W miejscu, w którym był, nie działały prawa obowiązujące w boskim świecie. W końcu Pożarski poczuł ból spowodowany upadkiem. Wstał i otrzepał spodnie z błota. Zdezorientowany zaczął się rozglądać. Był w mieście, do tego znajomym. Wsluchiwał się w rozmowy prowadzone przez ludzi wkoło niego. Wreszcie zrozumiał. Stał na głównym rynku Târgoviște.*

– Morderca...

– Błuznierca...

– Gwałtownik...

*Ludzie z rynku zaczęli go szarpać, bić, mówić do niego okropne słowa. Samuel próbował uwolnić się z uścisku tłumu, jednak napastników było zbyt wielu. Sięgnął po szablę, jednak ludzi to nie zniechęciło. Coś było nie tak. Pożarski ujrzał, że tłum przestaje mieć ludzkie twarze. Zastąpiły je szkaradne maski, wyjęte wprost z szatańskiej fantazji. Niektórzy wyglądali tak, jakby ich skóra topiła się z gorąca. Inni mieli otwarte rany, przez które można było zobaczyć zęby, kości i mięso. Wszystkie te poczwary chciały rozszarpać Samuela. Ich paznokcie raniły go do krwi, czuł nieznośny ból, gdy ich zęby wyrywały mu kawałki ciała.*

– Ty naprawdę sądzisz, że możesz się targować? – Diabeł powiedział te słowa szczerze zdziwiony. Samuel klęczał wśród popiołów. Upiory z Târgoviște zniknęły, za to pojawiły się spopielone ruiny jakiegoś domu. – Przelaleś tyle niewinnej krwi na Wołoszczyźnie, Rusi... i chcesz negocjować? Doprawdy jesteś wyjątkowo butny!

– Czego ty chcesz?

– Spłaty. Inaczej stanie się dokładnie to, co zapisaliśmy w umowie. – Szatan wyciągnął zza kontusza pergamin podpisany krwią Samuela. – W zamian na nieśmiertelność, za siedem lat od dnia podpisanie kontraktu, oddasz mi swoją duszę. Inaczej wszystko co kochasz zostanie ci zabrane przez kruki i wrony. Proste.

– Mogę dalej dla ciebie zabijać. Wiem, że tego chcesz.

– Aleś ty głupi. Nie ja tego chcę, lecz ty! Mi zależy tylko na spłacie. – Szatan stanął przy Samuelu i chwycił go za czuprynę. – Ludzie nie potrzebują zachęty, by się mordować. Nie muszę mieć na usługach takiego rębajły.

– *To po cholere ci byłem potrzebny?*

– *Bo miałeś zadatki na kogoś dobrego. Na moje szczęście twoja chęć sławy i pycha były silniejsze.*

– *Wykorzystałeś mnie!*

– *A ty chciałeś mnie oszukać. No co się patrzysz, ja wiem wszystko. Myślałeś, że przez całe życie pokochasz tylko wojaczkę. I niby jak miałbym ci ją zabrać? Jakimi krukami? Chciałeś za moją sprawą wiecznie palić, gwałcić i mordować. No, ale kobieta potrafi wiele zmienić... Sprawa jest prosta, albo ty, albo twoja rodzina. Wybieraj szaraczku.*

*Do Diabła podleciały dwa nienaturalnie ogromne kruki. Chwyciły go szponami za rękawy i uniosły w niebo. Samuel został sam, w świecie w którym nie powinno go być. Rozejrzał się wkoło siebie. Okolica wyglądała dziwnie znajomo. Zrozumiał, że klęczy przed swoim dworem zniszczonym przez pożar. Krew wzburzyła się w jego żyłach. Wściekłość na Diabła i na samego siebie nie mogła pomieścić się w jego ciele.*

*Z nieba zleciała chmara kruków i wron. Ich krakanie zwiastowało śmierć. Pożarski sięgnął po szablę i zaczął wymachiwać nią w powietrzu, próbując zabić jak najwięcej ptaków. Nie miał jednak szans z taką liczbą zwierząt. Czarne kruczyska zaczęły wydziobywać mu oczy, rwać kawałki mięsa. Samuel upadł. Umierał, krwawiąc obficie. Nic nie widział, słyszał tylko krakanie.*

\*\*\*

Wojciech miał rację, mówiąc, że prochu nie wystarczy, by wybić wszystkie ptaki. Po całym dniu i nocy strzelania, wystrzały ucichły. Zaczynało powoli świtać. Samuel wciąż siedział w swoim gabinecie i wszyscy bali się sprawdzić, co robi tam tak długo.

– Dziecko śpi? – spytał Wojciech. Na jego twarzy malowało się zmęczenie, podobnie jak na obliczach pozostałych przy życiu służących, którzy zdążyli schronić się we dworze.

– Tak. Alicji w ogóle nie przeszkadzają strzały, tylko to krakanie... ale udało mi się ją uspić.

– Dobrze. Proszę się nie martwić, pan coś wymyśli. Potrzebuje czasu. – Mężczyzna rozsiadł się przy stole. Wyciągnął z kieszeni drewniany kieliszek, który brał dawniej na wyprawy wojenne. Sięgnął po stojącą na blacie nalewkę i nalał sobie. Moc alkoholu sprawiła, że Wojciech się wzdrygnął. Nie czekając, aż palenie w gardle ustanie, wypił kolejny raz.

– Ty wiesz, o co w tym wszystkim chodzi – stwierdziła Małgorzata, przyglądając się staremu słudze. Wojciech miętosił węża i próbował wymyślić jakąś zgrabną wymówkę. Niestety nic mądrego nie przychodziło mu do głowy, więc nalał sobie trzeci kieliszek.

– To nie są moje sprawy, tylko pana Samuela. Niech on to pani opowie, ja jestem prosty wojak.

Małgorzata napełniła kieliszek sługi i spojrzała mu w oczy.

– Opowiedz. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Wojciech westchnął głośno. Spojrzał przez okno, a tam zobaczył chmarę ptaków niszczących plony, zabijających zwierzęta i ludzi. Wypił to, co miał nalane i zaczął opowiadać.

\*\*\*

Târgoviște tętniło życiem. Wojciech stał na targu i obserwował młode Wołoszki uganiające się pomiędzy straganami z koszami pełnymi zakupów. Samuel co prawda kazał mu pilnować tyłów, gdy będzie załatwiać jakiś interes, ale kobiety były o wiele ciekawsze dla wojaka, który dopiero co wrócił z wygranej bitwy. Na wspomnienie wydarzeń spod Humienna włos jeżył mu się na głowie. W potyczce o mało co nie stracił życia pod swoim koniem. Na szczęście uratował go Samuel.

Tego pamiętnego dnia, Wojciech wraz z innymi lisowczykami upozorował odwrót, by zaskoczenia zetrzeć się z jazdą, a potem piechotą nieprzyjaciela. Wszystko szło dobrze, póki jakiś dzielny wojak nie nadział konia Wojciecha na swoją przeklętą pikę. Sługa Pożarskiego myślał, że zginie pod swoją szkapą, ale dzięki Bogu pojawił się jego pan. Zeskoczył ze swojego wierzchowca, wyciągnął Wojtka spod truchła kobyły i poprowadził ich bezpiecznie przez całe pole bitwy.

Kra, kra! Kra!

– Przekłete ptaszysko – powiedział Wojciech, słysząc kruka siedzącego na beczce. Lisowczyk miał ochotę zastrzelić to nieznośne bydlę i wtedy zobaczył swojego pana rozmawiającego z jakimś dziwnym jegomościem. Wojak postanowił podejść bliżej, aby jak najlepiej wypełnić rozkaz zabezpieczenia okolicy, no i oczywiście podsłuchać, co tylko się da.

– Widzę, że jesteś zadowolony z naszej umowy. Miło mi to widzieć. To co teraz? – spytał swoim nieziemsko chłodnym głosem nieznajomy.

– Chyba ruszymy na Czechów. Zobaczą, może jakaś większa wojna szykuje się za rogiem.

– Coś mi się wydaje, że wojen ci nie zabraknie. Taki to nastał czas.

– I ty nie masz z tym nic wspólnego? – Pożarski się uśmiechnął.

– Zdziwiłbyś się, ale wszystkie te okropności robicie sami, bez naszej pomocy. Nie ma co gadać po próżnicy. Cieszy mnie, że okrywasz się sławą, Samuelu. Na mnie już czas, ale pamiętaj, do końca naszego kontraktu będziesz nie do pokonania w boju. Tylko ty sam będziesz mógł odebrać sobie życie, ale gdy przyjdzie czas, oddasz mi swoją duszę.

– Inaczej wszystko co kocham, odbiorą mi kruki i wrony. Wiem, wiem. Bywaj.

– Do zobaczenia, chłopcze.

Wojciech nie wierzył w to, co słyszał, strach padł na jego duszę. Odruchowo przeżegnał się i ujął w dłoń święty medalik zawieszony na szyi. Jego pan przecież jest dobrym człowiekiem,

uratował go przed śmiercią. Jednocześnie układa się z piekielnymi mocami.

– Witaj Wojciechu. Spokojnie, nic ci nie zrobię – powiedział Czart, zaczepiając sługę. – Ale za podsłuchiwanie należy ci się kara. Przepowiem ci przyszłość, powiem, co cię zabije. – Wojciech zbladł, patrząc w ciemne oczy Złego. – Lojalność. Zabije cię lojalność, a zrobi to, ponieważ jesteś dobrodusznym głupcem.

\*\*\*

Wojciech podczas swojej opowieści opróżnił pół karafki i miał ochotę na więcej. Nie był pewien, czy dobrze robi, opowiadając pani Małgorzacie to wszystko, ale czuł, że powinna wiedzieć dlaczego spotyka ich takie nieszczęście. Kobieta była oszołomiona tym, co przed chwilą usłyszała. Mężczyzna, którego znała i kochała, okazał się kłamcą i bezbożnikiem.

– Boże, co teraz?

– Nie wszystko stracone, Czarta też da się oszukać. Pan Samuel ma łeb na karku, jest sprytny jak lis. Damy radę. Nie wierzy pani?

Małgorzata nie miała jednak w sobie ani krzty wiary w męża. Teraz liczyła się dla niej tylko córka, ona była najważniejsza. Samuela, tego łgarza i świętokradcę mógł sobie Diabeł porwać. W gruncie rzeczy pasują do siebie.

Pożarski obudził się zły potem, leżąc pośrodku pentagramu. Nie wiedział ile czasu spał, śniąc śmierć zadaną przez ptactwo. Niemal natychmiast ogarnął go gniew. Czart bawił się nim. Zsyłał wizje, które miały go przestraszyć, wzbudzić poczucie winy. Ale przecież on był nieustraszoną żołnierzem, lisowczykiem. Zrobi więc to, co umie najlepiej. Wyjedzie tym chmarom na spotkanie z ogniem i żelazem. Przecież nie może umrzeć! Choćby miał zabijać ptactwo przez całe tygodnie, to zrobi to do ostatniego kruka w Rzeczypospolitej. Sprawdził, czy ma przy pasie zawieszoną karabelę i wybiegł z gabinetu.

– Wojciechu, pochodnia! Żywo! Wybiję to ścierwo do ostatniego!

Sługa zerwał się jak wicher ze stołka i pobiegł wykonać polecenie pana. Ostatni raz taki ogień w jego oczach ujrzał podczas ostatniej wyprawy wojennej, gdy spalili tuziny wsi. Pamiętał, jaki wtedy był Samuel. Jak ogarnęła go chęć mordy, gwałtu i rabunku.

– Samuelu... – zaczęła Małgorzata, jednak mąż nie pozwolił jej dokończyć.

– Pilnuj Alicji, ja to wszystko załatwię. Jak Boga kocham, załatwię! – Trzymając pochodnię w dłoni, wyszedł na spotkanie uskrzydłonym sługusom Czarta.

– Teraz wspominasz Boga... – powiedziała Małgorzata, ale tego szlachcica już nie usłyszał.

Samuel Pożarski, pełen gniewu i nienawiści, kręcił młynki w powietrzu, chcąc zabić jak najwięcej ptaków. Kruki latały wszędzie, wyjadały ziarno z pól i rozrywały ciała zwierząt, które



padały pod ich ostrymi dziobami. Szlachcic za nic miał rany, jakie zdążyły zadać mu skrzydlate bestie. Krew lała się z jego czoła i podziurawionych policzków. Wiedział dokładnie co robi, spalił te bydłeta na popiół. Samuel dotarł do stajni i dosiadł swojego rumaka. W pełnym galopie ruszył przed siebie, podpalając wszystko, co miał na drodze. Pola i budynki szybko zajęły się ogniem. Ptactwo również zaczęło się palić. Jednak to nie wystarczało Samuelowi. Widział chmary czarnych, skrzydlatych potworów na usługach Szatana nad okolicznymi wsiami. Oszałały z gniewu Pożarski postanowił i tam zanieść śmierć i zniszczenie. Wśród dymu i popiołów słychać było tylko cichnące krakanie i zawodzenie Burka, starego psa, który przetrwał atak mrocznych sił, chroniąc się w swojej budzie.

Po godzinie od wyjścia Samuela, domownicy postanowili wyjść na zewnątrz. Poraził ich ogrom zniszczeń, który zastali. Małgorzata zaczęła płakać, a Wojciech sapnął zmęczony i usiadł na pieńku. Wszędzie leżały nadpalone, martwe ptaki i pozostałości zwierząt zagrodowych. Krew mieszała się z popiołem, tworząc lepkie, śmierdzące błoto.

– Jezu! Nasze chałupy się palą! Ludzie! – Służba zobaczyła łuny świecące nad pobliskimi wioskami i polami. Zapominając o przeżytym horrorze, ruszyli ratować swój dobytek. Małgorzata nie miała serca i sił, by ich powstrzymać.

– Najważniejsze, że to koniec... – powiedział Wojciech, wycierając spocone czoło.

– Burek! – krzyknęła mała Alicja, wybiegając z dworu. Pies na widok dziewczynki zaczął podskakiwać i machać ogonem. Dziecko zaczęło głaskać swojego pupila i zdawało się nie dostrzegać zgrozy, która ją otaczała.

– Niech pani weźmie dziecko do dworu, psa też, niech się sobą cieszą – polecił stary lisowczyk. Rada jednak nie mogła dojść do skutku, gdyż z nieba, niespodziewanie, spadła na nich chmara ptaków.

– Nie! – krzyknęła Małgorzata, widząc jak kruki zaczęły atakować jej córkę. Burek bronił dziecka zaciekle, jednak sam padł pod ostrymi dziobami ptaków. Alicja krzyczała swoim cieniutkim głosem, jednak nie była w stanie zasłonić się przed taką ilością ptactwa. Wkoło nie było nikogo, kto mógł pomóc Wojciechowi i Małgorzacie, którzy dzielnie walczyli o życie małej. W końcu, gdy krzyki Alicji ucichły, kruki i wrony odleciały, pozostawiając zakrwawione dziecko w rękach matki. Wojciech ze smutkiem patrzył na twarz Alicji, pozbawionej oczu i kawałków mięsa z policzków. Jednak to twarz Małgorzaty sprawiała, że poczuł strach. Kobieta zawyla dziko, jak wilczyca, która utraciła młode. Wojciech nie wiedział, co ma zrobić, stał więc jak porażony piorunem i obserwował jak matka wnosi ciało córki do domu.

Ogień rozprzestrzenił się szybko. Samuel pozostawiał za sobą płonące wioski i pola. Chłopi chcieli mu przeszkodzić i wystawali mu naprzeciw z siekierami, widłami i motykami. Nie mieli z nim szans. Pożarski w wirze krwi i śmierci zapomniał, gdzie jest i co właściwie robi.

Wydawało mu się, że znów jest na wojnie, że pali wsie wrogów i niszczy ich dobytek. Mężczyźni padali pod ciężarem jego szabli, kobiety próbowały ratować się w gęstych trawach i polach, jednak tam spotkał ich ogień podłożony przez szlachcica. Zniszczenie wszystkich wiosek zajęło mu cały dzień. Gdy słońce zaczęło zachodzić, patrząc na ciemnoczerwone niebo, Samuel jakby oprzytomniał. Cały zlany był krwią, ubrudzony dymem i popiołem. Nad nim latały płonące kruki i wrony. Samuel chwycił się za głowę, w jego oczach pojawiły się łzy.

– Co ja zrobiłem...

\*\*\*

Szlachcic wrócił do dworu na ledwo żywym koniu. Słońce już całkiem zaszło, pozostawiając za sobą cieniutką pomarańczową linię – koronę nad spalonymi wioskami, z których unosiły się kłęby czarnego dymu. Samuel popatrzył na ogołocone pola i trupy leżące tu i ówdzie, po czym westchnął nad swoją tragedią. Mimo wszystko nie opuściła go nadzieja. Miał żonę i córkę, Diabeł nie zabrał mu wszystkiego. Pola, budynki, zwierzęta wszystko to można znów zdobyć. Szatan nie wygrał tej walki.

– Wojciech! Słyszysz mnie! To koniec, wybiłem je wszystkie.

– Nie wszystkie... tam... – Sługa wskazał na otwarte na oścież drzwi do dworu. Zasłonił twarz dłońmi i zapłakał. Samuela ogarnęło potworne ziemno, strach niemożliwy do opisanego. Wbiegł szybko do swojego domu i ujrzał zwłoki swojej córki z wydziobanymi oczami, leżące na podłodze. Nad nią zaś wisiała jego żona powieszona na słuckim pasie. Nie mogąc znieść tego widoku, wybiegł na dwór. W oczach mu pociemniało. Ogarnięty szałem szarpał swojego sługę.

– Dlaczego jej nie pomogłeś?! Dlaczego?! Dlaczego?! – krzyczał na starego Wojciecha. Ten jednak milczał, a w oczach świecił mu strach. Pierwszy raz bał się swojego pana, tych jego płonących oczu, twarzy całej we krwi, dłoni poplamionych sadzą. – Mów! Mów! Miałeś ich strzec! – Samuel wyciągnął szablę i przebił nią swojego starego przyjaciela. Wojciech, ostatni sługa, który przy nim został, skonał u jego stóp.

Szlachcic osunął się na ziemię i zaczął płakać. Jednak przegrał. Szatan zabrał mu wszystko.

– Chyba już czas, prawda? – Diabeł stał przed nim, trzymając w dłoni umowę podpisaną lata temu przez Samuela. – Nie masz już nic, chłopcze. Przebij się tą szabelką i oszczędź nam obu czasu.

Pożarski wstał błyskawicznie i spróbował ciąć Szatana swoją karabelą. Jednak metal przeszedł przez ciało Złego jak przez powietrze. Samuel jakby tego nie zauważał. Raz za razem wyprowadzał nowe ataki, mając nadzieję, że któryś poskutkuje. Diabeł w końcu uznał, że ta zabawa przestaje go radować i silnym uderzeniem posłał Samuela ponownie na ziemię.

– Nie masz wyboru, szaraczku. – Szatan pogłaskał szlachcica po głowie. – Nie żebym cię

nie lubił, ale w gruncie rzeczy jesteś złym człowiekiem. Spójrz na te kłęby dymu. Zabiłeś tych wszystkich ludzi. Ty sam. A dawniej na wojnach, hm? Musisz iść do piekła.

– Musi to na Rusi, a w Polsce jak kto chce.

– Uparte z ciebie bydlę! Albo zdechniesz teraz z własnej ręki, albo na wieki zostaniesz ze swoim bólem! Sam do tego doprowadziłeś!

– Niech będzie... wybieram... ból. – Pożarski splunął Diabłu w twarz i skoczył do swojego konia. – Pierdol się! – krzyknął, galopując na zachód.

Diabeł stał przy zwłokach Wojciecha i patrzył jak Samuel znika w kłębach dymu, oddalając się z każdą chwilą.

– A to ci niespodzianka... – powiedział sam do siebie szczerze zdziwiony. Nie żeby coś tracił na tym kontrakcie. Co prawda dusza Samuela jeszcze długo nie wstąpi do piekła, ale za to szlachcic będzie z każdym dniem pograżać się w szaleństwie i siać zamęt, oraz zniszczenie gdziekolwiek się pojawi. Szatan spojrzał na dwór swojego rywala i uznał, że ta architektura niezbyt mu się podoba. Zagwizdał, a na jego wezwanie piorun uderzył w dach przeklętego domu. Diabeł uśmiechnął się pod swoim ciemnym wąsem, odwrócił i odszedł, gwizdząc wesoło.



# LAMENT MARTWEJ NOCY

Narczyz Florent

Kocham ją. Jestem odurzony jej niebiańską, delikatną urodą i ruchami pełnymi gracji. Artystka. Tak mógłbym ją jednym słowem opisać. Widać wpływ sztuk pięknych i abstrakcyjnych w jej sposobie bycia. Chociaż mógłbym śmiało stwierdzić, że sama w sobie jest sztuką. Definicją symboli, cudownego subiektywizmu, idealizmu. Jej nieziemska esencja

ciągnie się za nią, gdziekolwiek nie pójdzie. Ta aura z niej się dobywająca wpływa na środowisko i zmienia je w świat pełen Duszy. Uzewnętrznionego życia wewnętrznego. Sytuacje codzienne, sztamkowe i nudne zmieniają się w świat magii, beztroski, pożądania. Tak samo było w przypadku naszego poznania.

Parę miesięcy temu usłyszałem od nielicznego środowiska osób zainteresowanych malarstwem o klubokawiarni „Ziarna”. Było to miejsce dostępne tylko dla nielicznych. Bardzo specyficznych nielicznych. Aby takim zostać, należało jedynie podejść do dziadka wiecznie siedzącego przed dyndającym szyldem kawiarni i poprosić o wpis do książki członków. Staruszek zawsze patrzył przybywającym głęboko w oczy. Jego pełen mądrości wzrok zdawał się rozbierać delikwenta do naga, co powodowało, że liczni go omijali. Po dłuższej chwili stary człowiek wymawiał „czyste ziarno” lub „zgniłe ziarno”. Po tym pierwszym wyciągał swojego smartphona, coś na nim wystukiwał, a następnie mówił „zapraszam serdecznie, został pan/pani wpisany/a na listę”. Po tym drugim „nie dla każdego niebo jest otwarte”. W zależności od odpowiedzi nowemu przybyłemu delikwentowi przylepiano permanentnie społeczną łatkę na całe jego życie.

Pamiętam, jak zabrałem ze sobą moją przyjaciółkę, kiedy pierwszy raz udałem się do ciasnych alejek, gdzie „Ziarna” miały się znajdować. Jest to dusza niezwykle wrażliwa, lecz ziewała pustką, gdy spotkałem ją po raz pierwszy. Zdawała się wtedy krzyczeć wewnątrz o pokochanie, miłość bezwarunkową, oddanie i ciepło drugiej osoby. Jej zachowania były definiowane przez te felerne elementy. A poznając mnie, postanowiła, że zapełni mną tę wewnętrzną dziurę. Niestety, później zapragnęła jeszcze więcej mojej osoby, na którą nie było mnie stać. Pałała do mnie miłością, ponieważ tylko ja byłem przy niej i tylko ja jej wysłuchiwałem. Pełniłem funkcję gąbki emocjonalnej do pewnego momentu. Do momentu, w którym spotkałem moją ukochaną.

Dziadek popatrzył na nas. Nad nim fruwał szyld przyozdobiony migającymi ledami, poruszany przez chłodny wiatr. Wzrok starca przeniknął mnie do głębi. Czułem w sobie jego impulsy. Dostawały się do każdego miejsca w moim ciele, a najbardziej zalegały w sercu, które wypełnione jego wzrokiem poruszało się nienaturalnie, jakby było ranione. Poczulem zalewający mnie ból egzystencjalny. Ten wzrok nie był naturalny. Nie należał do świata rzeczywistego.

„Czyste ziarno”. „Zapraszam serdecznie. Został pan wpisany na listę”.

Skierował wzrok na moją przyjaciółkę, która właśnie za mną ruszała.

„Zgniłe ziarno”. „Nie dla każdego niebo jest otwarte”.

Dziewczyna znieruchomiała. Łzy napłynęły do jej oczu i gdy zaczęły spadać na grunt, uciekła.

Była to dla mnie sytuacja aż nad wyraz przykra. Obserwowałem zdziwiony jej niezdatną ucieczkę od niepowodzenia. Widziałem w niej wyrastające we wnętrzu kolce kolejnych problemów. Rodziły się one obok innych już dawno dorosłych i pielęgnowanych przez długi okres. Nie były to rośliny bezpieczne. Powodowały fizyczne przecięcia na przedramionach, jak i na brzuchu. Widziałem te rany. Czerwone, wąskie jak ostrze noża siatkami pokrywały nieśmiało ciało mej przyjaciółki. Oboje ignorowaliśmy ten fakt. Rozumieliśmy naturę tych wewnętrznych kolców. A teraz wyrastały następne i nie mogłem nic na to zaradzić.

Dziadek nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, co się stało. Siedział nieruchomo. Pustym wzrokiem wpatrywał się w jakiś niewidoczny punkt w rzeczywistości. Jego poza, wyraz twarzy oraz brak jakiegokolwiek ruchu przyczyniały się do iluzorycznego wrażenia posągu. Nie zastanawiałem się nad tym, jak długo tak siedzi i czy w ogóle rusza się z miejsca. Nie chciałem. Czułem, że ta prawda nie należy do prawd najprzyjemniejszych. Czułem, że zalicza się ona do prawd, które nie powinny nigdy wychodzić na jaw.

Zakłopotany wszedłem do środka i doznałem odczucia, którego nie sposób opisać. Moje wnętrze wybuchło szczytowymi emocjami. Olśniony Edenem zostałem odcięty od jakiegokolwiek racjonalnego porządku świadomości. Raj, Arkadia - słowa te nie oddają rozmachu, który dzieł się w klubokawiarni. Członkowie w niej przebywający byli ludźmi zupełnie innego sortu. Aniołowie z rozwiniętym sercem, umiejący odnaleźć się we własnej Duszy i ją wyrażać. Pamiętam, że jeden z tych albinosów opowiedział mi o przyczynie elitarności tego miejsca. Miało ono zbierać ludzi obdarzonych pierwiastkiem niebiańskim, dziewiczym. Zapytałem więc, po co ma się tak dziać? Zdaniem mojego rozmówcy był argument o przekazywaniu wielu odbić świata w celu odkrycia jednego, pełnego poglądu na rzeczywistość. Ludzie, których serce było ułomne, niszczące głębię i niebezpieczne piękno istnienia, nie powinni brudzić miejsca tych nieskazitelných.

W „Ziarnach” spotkałem właśnie moją lubą. Jej czyste piękno i bystrość umysłu wkradły się od razu w me serce. Nie spotkałem do tamtej pory takiej osoby, która doskonale rozumiałaby sprawy zalegające w mojej głowie. Rozwiała we mnie wszelkie wątpliwości jedną, precyzyjną rozmową i rozkochała mnie do granic szaleństwa. Obłąd i paranoja - słowa, które idealnie odzwierciedlają miłość i pożądanie.

Niejasność umysłu, mimo że wzniosła, żąda ceny olbrzymiej. Przestałem zachwycać się postacią mojej przyjaciółki. Urazy do niej, które we mnie tętniły stłumione, odnalazły swoją drogę na zewnątrz. Nasiliły się. Zaczęły dawać się we znaki po wyjściu z kawiarni.

Dziewczyna, która odbiegła ode mnie z płaczem, płakała za każdym razem, gdy ją spotkałem. Nie było mi jej żal, mimo że powinienem czuć choć odrobinę współczucia. Każdy jej ruch zaczął mnie irytować. Nie był takim, jakim chciałem, by był. Nie był ruchem ukochanej. Myśląc o naszej wspólnej przeszłości, zauważałem momenty i zachowania przyjaciółki, które odbiegały od tego, czego oczekiwałem. Aby nie być gołosłownym, przytoczę zachowania najbardziej mnie raniące.

Nie była w stanie dostatecznie zrozumieć moich dzieł. Wpatrywała się w nie tępym wzrokiem i pochłaniała jedynie warstwy estetyczne. Brzydziła się nawet surrealizmem ubóstwianym przeze mnie. Dla niej dzieło było jedynie rozrywką, czymś, co wypełniało czas i nic poza tym. Postawiła je na równi z przeglądaniem Facebooka czy Twittera. Nie należała do tych oświeconych. Była skazą, która zaczęła mnie brzydzić.

Widziałem, jak płakała skrycie, gdy wspominałem o mojej miłości. Zawieść ją zżerała od środka. Próbowала mnie odciągnąć od lubej i od wszystkiego, co z „Ziarnami” miało związek. Zbulwersowany odpowiadałem na te wszystkie zachowania z egoizmem, nie zwracając uwagi na stan przyjaciółki. Odpłaciło to tym, że płacz nasilał się, z kolei wewnętrzne kolce rozmnażały się na potęgę.

Rany na jej ciele się powielały. Ramienia, nogi, brzuch, plecy - wszystko spowite krwawą siatką pajęczyny. Wpatrywałem się w ten żaloszny obraz obojętnie. Nie dotykałem tych linii, nie zaklejałem, nie szyłem. Obserwowałem, jak powoli tworzą się kolejne cienkie drogi ustępu krwi.

Ukochana darzyła moją przyjaciółkę ciepłym uczuciem, lecz nie znała jej ran. Skupiała się bardziej na jej charakterze - niezwykle energicznym. Czerpała z niego pewną radość i motywację do ekspresji wnętrza w swoich dziełach. Podziwiała beztróskie (według niej) zachowania oraz pozytywne podejście do życia (które było przykrywką ukrytego bezsensu istnienia i kwestionowania wartości moralnych). Obraz przyjaciółki w mych oczach zdecydowanie różnił się od obrazu przyjaciółki w oczach ukochanej.

Nie przeszkadzała mi jednak ta różnica. Kochanka ma żyła innym życiem niż większość ludzi. Jej świat rzeczywisty nie skupiał się na tym, co widoczne. Dla niej świat materialny był jedynie ułamkiem czegoś większego, co żyło w niej samej. Zauważała rzeczy, które dla innych są niedostępne i oddawała wszystkie zebrane wrażenia, myśli na płótno. Pamiętam jeden szczególny obraz, który utkwiał mi w pamięci: droga prowadząca przez las usiany nocą. Drzewa, niebo, krzaki, maliny na tych krzakach, mrówki na tych malinach - to wszystko było iluzoryczne. Obserwatorowi wydawało się, że miejsce to mimo swej przyziemnej natury nie należało do tego świata. Przemawiało ono dogłębnie, poruszało najskrytsze struny w człowie-

ku, który nie rozumiejąc, czemu płacze, zachwycał się tą niezwykłą ścieżką. We mnie obraz ten wywołał uczucie niepokoju. Miałem wrażenie, że w tych krzakach nieśmiały liniami namalowane są trupie odbicia we mnie wpatrzone. Były identyczne: okrągła twarz łysej kobiety. Nie malowały się na niej żadne emocje. Zwykła kukła wyprana z człowieczeństwa.

Zapytałem ukochanej, czemu postanowiła wprowadzić taki zabieg. Jaki jej cel przyświecał, kiedy malowała parę ukrytych oblicz tej samej białogłowy. Zdziwiona odpowiedziała, że żadnego takiego zabiegu nie wykorzystwała. Nie namalowała ani jednej ludzkiej czy nie-ludzkiej twarzy na dziele. Nawet gdy pokazywałem jej, gdzie dokładnie widzę kontury, upierała się, że nie zauważa nic z tego, co mówię.

Była wtedy podekscytowana. Ucieszyła się tym, że udało jej się oddać swój dynamiczny świat, w którym żyje. Udało jej się przelać te niewytłumaczalne zjawiska wewnętrzne na płótno. Teraz one wpływały również na mnie. Tak przynajmniej twierdziła, gdy chwile później zatapiała swoje słodkie usta w moich.

Teraz zastanawiam się nad tym: czemu widziałem w takim razie puste, kobiece oblicza mnie obserwujące? Czyżby to był mój skryty obraz cierpiącej przyjaciółki? Często obwiniałem się za obojętność, z jaką zacząłem ją traktować. Ta obojętność mogła urzeczywistnić się w tych liniach na obrazie. Mogła zacząć mnie prześladować. I pewnie już to robi. Śledzi moje myśli, a wraz z nimi również zachowania.

Nie rozumiem tego. To wszystko jest dla mnie zagmatwane. Członkostwo w „Ziarnach” wzięło za cenę spokój mojego życia. Przyjaciółka, którą do tej pory darzyłem ogromną sympatią, stała się dla mnie jednym z wielu żalonych bytów, które tworzą społeczeństwo. Społeczeństwo puste, instynktowne. Dlaczego nikt nie rozumie moich obrazów? Dlaczego te wszystkie zdeformowane postaci i krajobrazy, które maluję na płótnach są postrzegane wyłącznie jako urozmaicenie w życiu? Dlaczego istnieją takie miejsca jak „Ziarna”? Dlaczego tylko one oferują zrozumienie i jakąkolwiek sensowną dyskusję? Dlaczego każdy człowiek nie może być jak moja luba? Przyjaciółko najdroższa, proszę, zmień się. Doceń wszystkie moje prace. Zaczynaj podążać za wartościami, za którymi ja wiecznie biegnę. Nie burz mi ich już nigdy więcej, a obiecuję, że rany twe zagoją się na wieki. Pozwól mi wyrwać te kolce z ciebie, ale nie zamykaj mnie w sobie. Nie jestem dla ciebie, a ty nie jesteś dla mnie.

Zamykam roztrzęsioną ręką Macbooka. Znajduję się w moim pokoju. Panuje w nim mętność ciemności zmieszanej z małą ilością światła. Wszystko niewyraźne.

Drewniana sztaluga z płótnem stoi na środku, dominując swoją obecnością pozostałe rzeczy. Pędzle, farby, paleta upstrzona kolorową wysypką leżą pod rozpoczętym obrazem.



Z niego spogląda na mnie moja przyjaciółka. Naga siedzi pośród bieli, która gdzieś tam poplamiona jest szkarłatem. Jej skóra na gładkim ciele ozdobiona jest siatką przecięć, z której cieknie ten gęsty kolor. Wylewa się spod krągłych piersi i spływa przez wzniesienia smukłej talii, docierając do schowanej między delikatnymi udami płci. Jej błękitne oczy spoglądają na mnie pustym wzrokiem. Nie wyrażają żadnych emocji. Obojętne na upust czerwieni, który właśnie ma miejsce. Wszędzie wokół sztalugi walają się inne rzeczy: butelki po wodzie, kołdra zrzucona z rozłożonego i rozkopanego łóżka, czarna koszulka, jeansowe spodnie, czerni stanika przerzuconego przez kaloryfer.

Przyjaciółka siedzi w kącie pokoju naprzeciw mnie. Zapłakana wpatruje się, jak jej łzy spadają na nagie uda bezładnie rozłożone na podłodze. Podnosi jedną z dłoni, pod którą rysują się małe przecięcia, przypominające rany zadane przez kota. Wyciera nią swoje wilgotne oczy, pochlipując przy tym spazmatycznie.

Wstaję ze spokojem w duchu. Zbieram jej ubrania i składam je bez słowa przed nią. Ta próbując się uspokoić, kurczowo odbiera koszulkę, spodnie, bieliznę. Ubiera się niezdarnie.

Nalewam więcej światła, przesuwając mały suwak wbity w ścianę. Wszystko staje się wyraźniejsze.

Odbicie całego pokoju jaśnieje w szybie. Zauważam w nim moją niewyraźną sylwetkę, jak i postać przyjaciółki powoli już wstającej. Nie mamy zdecydowanych konturów. Falują one pociągane przez niezbitą mrok panujący na zewnątrz. Od paru długich godzin króluje głęboka noc. Nie doświadczyłem nigdy w życiu nocy, która zabijałaby jakiekolwiek wrażenie tętniącego życia jak ta. Nie widzę dosłownie nic za oknem. Jedynie odbicie pokoju i nieprzebitą ciemność.

Przyjaciółka ogląda obraz. Obserwuję jej szkliste, bezsilne oczy błędzące po jej wizerunku. Jeździ po swych konturach, nasycając się kolorem, wchłania teksturę i linie skóry szkarłatem przyozdobionej. Zauważam, jak szczególną uwagę poświęca czerwieni. Jej oblicze zdaje się nie zmieniać swojego wyrazu, gdy ogląda szczegółowo każdą plamę, każdą czerwoną siatkę na ciele. Skromnym spojrzeniem obejmuje swój nadgarstek. Tylko. Podnosi go i przyrównuje blizny na nim do blizn na obrazie. Nie komentuje nic. Mogłem się tego spodziewać.

W milczeniu wychodzimy z pokoju. Sugeruję jej, że mogę już ją odprowadzić do domu. Nie jest mi już potrzebna, więc pięknie dziękuję za przyjęcie roli modela. Minimalistycznie kiwa głową, w międzyczasie zakładając na siebie czarną kurtkę.

Noc jest osobliwie niezwykła. Cisza zdaje się przytłaczać swoim ciężarem. Nasze samotne odgłosy kroków są pochłaniane natychmiastowo przez otoczenie. Przeraza mnie to, gdyż paradoksalnie te chwilowe dźwięki są jedynymi dźwiękami, które słyszemy. Żaden mieszkaniec domu na tej nieoświetlonej ulicy nie daje jakiegokolwiek znaku życia. Każdy dom, który mijamy, ziele ciemnością. Pustka. Cisza. Samotność.

Nie mam siły na wymówienie słowa, choćbym chciał. Patrę jeszcze raz na jej oblicze, licząc na to, że w przyływie chwili uda mi się coś powiedzieć. Zbywam je jednak milczeniem, widząc, że twarz dziewczyny nagle przykrył mrok. Wygląda trochę jak gęsta, mroczna mgła, która zakrywa oblicze grzeszników. Czy sędzę, że ona jest grzesznikiem? Tak. Nie skomentowała w żaden sposób mojej pracy. Ten głupi wzrok na tym płótnie zupełnie mi się nie podobał. Czemu ona nie zauważyła tego, że widzę, że cierpi? Czemu nie zauważyła symboliki? Czemu nie wdała się ze mną w żadną dyskusję albo chociażby, czemu nie ponarzekła na moje konwencje? Najwidoczniej jest zgniłym ziarnem. W życiu nie zakiełkuje. Będzie jedynie zawadzać w tym świecie jak reszta szarej masy. Nie obchodzi mnie, że ona teraz płacze. Nie mój interes.

Jednakże spoglądam jeszcze raz na jej oblicze, aby usatysfakcjonować się widokiem łez. Przypatruję się, próbując przebić gęstą warstwę mroku. Zdaje mi się, że to coś żyje. To nie jest możliwe, aby mrok samoistnie zasłaniał jedynie wybrane miejsca twarzy. Dlaczego tak się dzieje?

Dziewczyna nagle się zatrzymuje. Obserwuję ją. Wydaje mi się, że wpatruje się w pewien punkt przed sobą. Nie jestem w stanie tego stwierdzić, gdyż jej oczy w dalszym ciągu nie są widoczne. Korzystając jednak z wiedzy o kierunku jej zainteresowania, obracam głowę w odpowiednią stronę. Widzę samotną ciemność, która wchłania w siebie dalszą część wybrukowanej drogi. W końcu zbieram się na wypowiedzenie czegokolwiek. Pytam dziewczyny, czemu się nagle zatrzymała? Nie ukrywam faktu, że jestem poirytowany tym atencyjnym zachowaniem.

Nie odzywa się.

Z mroku przede mną wydobywa się odgłos czyichś kroków. Odwracam wzrok w tamtą stronę i obserwuję wszystko sparaliżowany. Dziewczyna nie porusza się ani na milimetr, a jej twarz nadal jest zakryta ciemnym oparem. Odgłos kroków nasila się. Odnoszę wrażenie, że uspokaja mnie on w jakiś sposób. Czy te kroki nie należą do osoby, którą miłuję ponad życie? Czy to moja luba?

Po chwili wyłania się z ciemności dziewczyna o łagodnej urodzie z mieniącymi się na kasztanową czerń włosami. Przyjaciółka zaczyna spazmatycznie płakać z każdym krokiem,

którym niewiasta się zbliża. Wzrok tajemniczego przybysza skupiony jest na mojej towarzysze. Ona zaś w tym momencie zaczyna wrzeszczeć. Nie jestem w stanie pojąć, dlaczego nikt z domów obok nie reaguje? Dlaczego krzyk - tak przeszywający swoim piskiem człowieka, tak drący powietrze - zdaje się być gaszony zaraz po przewędrowaniu paru metrów?

Ogień błyszczy. Oblicze mojej przyjaciółki spowija się w płomieniach. Promyki wrzącego światła odbijają się w jej szklistych oczach nadal rodzących łzy.

Krzyczy.

Przeokropnie krzyczy, płonąć.

Boże, zamknij się już. Łeb mi rozrywa od tego obrzydliwego pisku. Kochanie, spal ją. Proszę. Spal ją. Nie oszczędź niczego. Spal. Niech dziwka płonie.

Świat jest niesprawiedliwy, gdy widzę, że ludzie z takim brakiem aspiracji, z taką ignorancją naśmiewają się z Duszy! Jestem z Duszy zbudowany, od Duszy wszystko się rozchodzi do świata. Jestem jednym z głosów tych nielicznych, którzy czują. Którzy widzą więcej niż ci wszyscy razem wzięci. Spłoń i odrodź się na nowo.

Płomienie wygasają. Nie zostaje nic z przyjaciółki, jedynie parę marnych wspomnień.

Zadowolony z wymiaru sprawiedliwości, której tak mało w życiu doświadczyłem, zaczynam śmiać się w głos. Życie ma jednak odrobinę sensu, życie ma jednak odrobinę piękna. Odrobinę sensu. Odrobinę piękna. Spoglądam z utęsknieniem na moją ukochaną.

Nie ma jej.

Miast niej widzę łysą kobietę, wpatrującą się we mnie wzrokiem bez emocji.



# POCZYTAJ, TATO

Emilian Wojnowski

Emmę Ast obudził huk wystrzału.

Mieszkała z dala od ludzi, więc huk ten wyrwał ze snu tylko ją i co najwyżej okoliczne kojoty i wilki. Odrzuciła kołdrę i sprawdziła, czy jej mąż, Esau, śpi obok. Niestety nie było go tam.

Oślepiąca blaskiem księżyca wyslizgnęła się z łóżka, sięgnęła po strzelbę opartą o szafkę nocną i kucnęła. Przeładowała Winchestera.

Przyszli po jej męża. Ci od pokera. Albo Indianie, do życia których nieustannie się wtrącał, by zaspokoić ciekawość, a przy okazji znaleźć łatwy sposób na zarobek, co udało mu się już nie raz.

Jednego mogła być pewna: nie ucieknie ani przed jednymi, ani przed drugimi.

Na ścianę sypialni padł cień. Ktoś stanął w oknie. Emma wyjrzała zza framugi. Jakiś wielki chłop zachwiał się z bezsilności, cały osmolony, jakby uciekł prosto z piekła.

– Emma.

Sparaliżował ją ten głos.

– Emma – zarzęził ponownie.

– Es, to ty?

– Taaa.

Pewnie ci od pokera znów go upokorzyli po tym, jak on upokorzył ich podczas gry.

– Es! – Wybiegła na ganek. – Co oni ci zrobili?

Czarna twarz, czarne ręce. Popalone ubranie, pęcherze na skórze. I nowe buty robione na zamówienie, ze specjalną kieszenią z boku, były teraz tak poobdzierane, jak on sam.

Esau ujął jej twarz w dłonie. Dzięki lampce nad wejściem, z której jarzyło się światło, mógł się jej przyjrzeć. Rozmasował jej policzki kciukami, jak gdyby upewniając się, że to ona, jego żona, tak samo młoda i atrakcyjna, jak kiedy widział ją ostatni raz.

– Nic, kochanie – odpowiedział zgodnie z prawdą i uśmiechnął się.

– Ale powiedz mi! – prosiła. – Powiesz, tak?

\*\*\*

Esau Ast uwielbiał ciszę biblioteczną. Inni jednak rzadko zaglądali do tej niewielkiej, ale bogatej w unikatowe woluminy przykościelnej biblioteki Pierwszego Kolorowego Kościoła Metodystów<sup>1</sup>.

– Nowa pozycja? – zapytał, ale bardziej sam siebie niż bibliotekarkę imieniem Bridget, które ścierała kurze obok niego.

Odsunął książkę o starodawnych indiańskich sposobach nawożenia ziemi pod uprawę kukurydzy i przeszedł do lektury nowej pozycji o mało znanym odłamie plemienia Kikapów.

Usiadł do stolika i przeczytał wstęp, odręcznie pisany, na pożółkłym, pofalowanym papierze. Mimo że zbierał książki od lat – i przeważnie o tematyce dotyczącej Indian oraz ich czarów – nie udało mu się zgromadzić ich tylu, żeby pozostać wiernym domowej bibliotece.

Wyjął zszyte kartki i zanotował w punktach:

*1) Posiadają rozległą wiedzę o funkcjonowaniu mózgu, który można według nich kontrolować za pomocą dymu. 2) Leczą osoby wyłącznie świadome swojej choroby i ewentualnych czynów z przeszłości, które, jak wierzą, do powstania teźe mogły się przyczynić. 3) Wierzą, że wszystko ma duszę – czyli manitu, z którym komunikują się za pomocą dymu z palonego tytoniu.*

---

<sup>1</sup> W oryginale: The African Union First Colored Methodist Protestant Church and Connection (przyp. autora)

– Interesująca – zwrócił się do bibliotekarki.

– Słucham? – Wyprostowała się po wciśnięciu drewnianka pod nóżkę etażerki. – Ach, tak, ta książka. Nawet dwie nowe mamy, proszę pana. Tu obok stoi jeszcze jedna, nieco cieńsza. Dla tych, którzy już obcowali z plemieniem Kikapów, tak przynajmniej zaznaczył we wstępie sam autor.

– Rozumiem.

– Nie są w najlepszym stanie, proszę pana. Ale mam dobre wieści: pastor obiecał założyć ogrzewanie na zimę, na wypadek wilgoci. A pod koniec tygodnia, jeśli to pana interesuje, powinniśmy też mieć nowe pozycje medyczne.

– Dlaczego ta jest w tym dziale?

– Tu są egzemplarze, których jest tylko po jednej sztuce. Nie tylko u nas, ale możliwe, że i w ogóle. Dlatego też, proszę pana, tych nie wypożyczamy.

– Skąd się więc tu wzięła? – zapytał, obracając ołówek między palcami.

– Od Kikapów, taki prezent, proszę pana. Tych no... osiedlili się niedaleko. Pastor mówi, że te ziemie są nasze, ale że to nie szkodzi, jak tam pomieszkają. Zresztą i tak ich nie widać za pagórkami.

*Cóż, pomyślał Esau, to w pewien sposób pocieszające, że choć jeden pastor po kilku wiekach krwawej historii zrozumiał, że ziemia to dar Wielkiego Ducha ofiarowany na własność wszystkim ludziom dla wspólnego użytkowania.*

Zaczynało zmierzchać, toteż Esau postanowił, że kontynuuje lekturę jutro. By wsunąć ją na miejsce, przesunął na półce dwa słoiczki z czarną ciecżą.

– Dali też dwa słoiczki bitumenu, proszę pana – wtrąciła bibliotekarka, ściskając w pięści szmatkę. – Oleju ze skały. Chyba sami wydobyli. Powiedzieli, że dla nich, jako że używają go jako środka odkażającego, będzie symbolem zmazania ewentualnej niezgody między nimi a nami, metodystami.

– Aha, a do czego tak naprawdę się go używa?

– My znamy go bardziej jako środek spajający, proszę pana, stosowany najczęściej przy budowie dróg. Dlatego dla mnie symbolizuje pojednanie. W każdym razie... i tak dobrze, i tak. Prawda?

– Prawda – odpowiedział z uśmiechem, wiedząc, że Kikapom, jako nielicznym z Indian, podobały się nauki chrześcijańskie, więc wolał tę pierwszą interpretację.

Wychodząc z biblioteki, wrzucił dobrowolnie kilka monet do puszki zamocowanej przy samym wejściu.

\*\*\*

Esau Ast stał jak zamrożony. Wdychał swąd palonego drewna, który dolatywał z daleka. Starał się nie ruszać, bowiem każdy ruch skutkował rwącym bólem skóry i mięśni. I tylko patrzył, jak żona toczy beczkę, stawia ją i rusza z wiaderkiem do studni.

– To ty? – zapytała.

– Co?

– Pytałam, czy to ty. O, tam.

Nad pagórkami, razem z obłokami dymu, wynurzała się pomarańczowa poświata.

\*\*\*

Bibliotekarka Bridget ufała Esauowi Astowi na tyle, że ostatecznie pozwoliła mu wypożyczyć książkę o plemienu Kikapów. Książkę i coś jeszcze.

Wracając, czuł się jak William Wordsworth. Myślał sobie, że to właśnie takie spacerowanie daje poetom natchnienie.

Cieszył się, że się tu przeprowadził – tu, gdzie wokół roilo się od pagórków, gdzie za jednym był kościół czarnoskórych metodystów, a za drugim rzekomo obozowisko Indian. I gdzie nikomu to nie przeszkadzało. I gdzie za jednym mieszkał teraz on z żoną, a za drugim jego nowy kolega z dzieckiem – synem, który zachowywał się... inaczej niż dzieci w jego wieku.

Na wzgórkach stała niewielka chatka z wypłowiałych kłód. Okna na jej dachu przypominały zaspane oczy, a obok znajdował się powóz i kamienne palenisko. Właściciel posiadłości, a zarazem najbliższy sąsiad Astów – Gran Wheaton – krzątał się przed wejściem, nad którym wisiała jedna z lampek, jakimi handlował w soboty.

– Co mu jest? – wyszeptał Esau sam do siebie, przyglądając się sąsiadowi, który kulał i garbił się, jakby z dnia na dzień przybyło mu dobrych parę lat.

Astowi zrobiło się żal... staruszka? Jakiego staruszka, jeszcze do niedawna biegał z młotkiem, zbijał deski i konstruował lampki w chwilach wolnych od czytania.

Esau przystanął na pagórkach, jeszcze przez moment obserwując Grana i jego syna, który cokolwiek by nie robił, wydawał się nieobecny.

– Ej, Gran! – krzyknął Esau, a potem zwinął zeszyt w rulon, przez który krzyknął głośniej. – Gran!

Sąsiad wyprostował się i rozejrzył. Dopiero po chwili zauważył w tej wieczornej szaryźnie, że macha do niego Es.

– Es! – odkrzyknął, unosząc lekko kapelusz.

– Wpadniesz do nas jutro z synem?

– Co?

Czy jemu już słuch odjęło? — pomyślał Esau, a potem odkrzyknął:

– Mówię, żebyś wpadł do nas jutro z synem!

Gran pokręcił głową z niezrozumieniem.

Esau ruszył w ich stronę, zbiegając z pagórka.

– Rozpalacie ognisko?

– Tak. – Gran zmarszczył czoło, jakby nadal musiał się wsłuchiwać. – A co u ciebie?

– Z biblioteki wracam.

– Mają coś nowego?

– Tak, coś z medycyny. Usiądź – polecił Ast; nie mógł dłużej patrzeć, jak Gran kuleje.

– Pytałem, czy wpadniecie do nas jutro z synem. Zjemy coś. Ostrygi mam, kukurydzę.

– Jutro? – westchnął, siadając. – Jutro tak, bo dziś już zasiadamy do ogniska. – Wskazał na syna, który kończył układać polanka, przetykając je słomą. – Szlag, zapomniałem zapałek. – Poklepał się po kieszeniach pikowanej kurtki.

– Zapałek? – zapytał jego syn z karykaturalnym uśmiechem. – Aha, zapałek. Siu-siu-siu. Zapałki, zapałki.

Esau nie mógł nadziwić się, skąd u Grana tyle siwych włosów i zmarszczek. Z drugiej strony, kiedy uświadamiał sobie, jak wymagające jest przebywanie z takim dzieckiem, w pełni to rozumiał.

Gran już podnosił się po zapałki, kiedy Esau powiedział:

– Siedź, poczekaj. – I wyjął z kieszonki w butach zapałki Parlor. – Coś ci pokażę. – Obrócił pudełeczko, jak żeton, i jednym palcem wypchnął szufladkę. Następnie dwoma wyjął zapałkę i ustawił ją na drasce. Teraz wystarczyło ją pstryknąć, żeby zapaliła się w locie. – Chwila prawdy – powiedział i... zamiast ją wystrzelić, złamał. – Oj, dawno tego nie robiłem. – Spróbował ponownie, znowu to samo. – Jeszcze do niedawna mi wychodziło.

Syn Grana zaśmiał się dziwnie.

– No nic, najwyraźniej będę musiał poćwiczyć. – Zapalił zapałkę normalnie i wrzucił ją między drewnianka.

Wstał, zanim zdążyli go poczęstować, i zaraz był już w drodze do domu.



*Tu jesteście*, pomyślał Esau Ast, zauważywszy niewielkie obozowisko Kikapów, prostokątne szałaszy kryte korą wiązów. Gdyby nie wisząca u wejścia lampa jednego z nich oraz smugi tytoniowego dymu, pewnie umknęliby jego uwadze.

\*\*\*

– Gran również w tym siedział? – zapytała Emma, przelewając wodę z wiaderka do beczki, w której stał już Esau.

– On to wszystko zaczął. A ja... ja tylko chciałem mu pomóc.

– Mów, mów, ja cię słucham – powiedziała, odchodząc w stronę studni.

– Pamiętasz, jak przyszedł do nas na kolację?

\*\*\*

– To moja biblioteczka – powiedział z dumą Esau Ast. – Chociaż wydaje mi się, że w trakcie przeprowadzek zgubiłem już niejedną pozycję.

Podczas gdy syn Grana siedział na kanapie, już po zjedzeniu małż z podsmażaną kurzydą, jego ojciec przespacerował się wzdłuż biblioteczki. Dotknął kilku pozycji, ale niczego nie zdjął z półki.

Gospodarz, opowiadając, o czym są książki na poszczególnych półkach, wskazywał na tytuły, które powinny zaciekać Grana.

– Aha – mruzczał Gran, jednak ostatecznie niczego nie wybrał.

– Tę ostatnio wypożyczyłem, choć nie można. Podejź, zobacz.

Zanim Gran podszedł do Esaua, postarzał się z wyglądu o parę lat. Dosłownie: zapadły mu się policzki, pogłębiły zmarszczki na czole, posiwiał.

– Tę? – dopytał.

– Tak. – Podał mu ją, ale Gran schował ręce za plecy, jakby bał się, że go poparzy. – O jednym z nieznanym odłamów plemienia Kikapów.

Gran zważył książkę w ręku i oddał ją gospodarzowi, jakby dając do zrozumienia, że jeszcze ją sobie wypożyczy. Esau dostrzegł jakąś bezradność w oczach sąsiada.

Twarz Grana nagle stopniała, jak woskowa maska. Przybyło mu siwych włosów na skroniach, tak samo na brodzie i policzkach, opadła mu także warga, odsłaniając cienkie ząbki, dość wyniszczone.

– Weź, bo za jednym razem nie przeczytasz.

– Synu? – zwrócił się do chłopaka, rzeżąc bardziej niż dotychczas.

Mały Wheaton, siedząc na kanapie, machał nogami z tym samym uśmiechem co zawsze.

– Tak? – zapytał.

– Weź od pana książkę.

– O-o-o, a o czym to? Hu-hu-hu.

– Bajk... o Indianach, którzy nas... O Indianach.

– Tylko ostrożnie z nią – dodał gospodarz.

Chłopak wziął książkę, zakręcił nią na głowie i wrzucił do torby, z której od razu wyjął lampę i powiedział:

– Proszę. U-hu-hu-hu.

– Dziękuję – odparła Emma, przyjmując prezent.

– Niech służy – westchnął Gran Wheaton. – Cóż, dziękujemy za obiad. Pora na nas.

Młody musi jeszcze poćwiczyć jazdę na koniu.

\*\*\*

– Skąd wiedziałeś, że mu coś dolega? – Emma wlała do beczki kolejne wiadro wody.

– Po czym poznałeś, że to nie tobie się coś ubzdurało?

– Zbyt wiele razy doświadczyłem indiańskich czarów, żeby ich nie rozpoznać. Tylko on się starzał, nikt inny z mojego otoczenia.

Esau kucnął. Zimna woda przyniosła ulgę poparzeniom rozproszonym na całym ciele. Poczul się, jak jego skandynawscy przodkowie smagani niegdyś śniegiem i mrozem.

\*\*\*

Esau Ast zbiegł z pagórka, pokonał następny i zapukał zaraz do Whetonów, zostawiając na schodkach przed domkiem broń i coś jeszcze. Poczekał, znowu zapukał, a potem wszedł bez pozwolenia.

Młody Wheaton leżał na wełnianym dywanie w romby i oddychał, fiukając po cichutku. Na brzuchu trzymał książkę w twardej oprawie, o posrebrzanych rogach.

– Gdzie jest ojciec?

Nie odpowiedział.

– Jest w ogóle? – zapytał, rozglądając się po głównej izdebce. – O, młody. Sporo macie tych książek.

Zajmowały całą ścianę. Były ukryte za czymś w rodzaju kotary. Większość musiała być naprawdę droga, ponieważ traktowała o medycynie.

– Jeszcze drugi pokój cały – dodał chłopak i wrócił do fiukania: – Fiu-fiu-fiu.

– Gdzie poszedł ojciec?

– Fiu-fiu-fiu. Tylko co one mi pomogą? Siu-siu-siu.

Esau zauważył na stoliku książkę, którą pożyczył Granowi. Otworzył ją. Brakowało pierwszej strony z pieczęcią biblioteczną, która pozwalała zorientować się, gdzie szukać kolejnego tomu przeznaczonego dla tych, którzy już zetknęli się z kulturą Kikapów w prawdziwym życiu.

\*\*\*

– Potem dopadły mnie wyrzuty sumienia. – Esau Ast odetchnął głębiej, zanurzony w zimnej wodzie aż po szyję. – Że to przeze mnie. Że przeze mnie poszedł do biblioteki, która mogła przecież okazać się dla niego śmiertelnym miejscem.

– Bo każdą książkę, której dotknął... – westchnęła Emma. – Musiał przeczytać.

– Tak go załatwili Kikapowie, którzy zapewne odmówili leczenia chłopaka. Z różnych powodów, chociażby ze względu na jego wiek.

– Ale co, myślisz, że Gran pierwszy raz poszedł do biblioteki?

– Chyba starał się tam nie chodzić. Po tym, jak dałem mu tę książkę o Kikapach, ubzdurał sobie, że jak nie znajdzie odpowiedzi w tym tomie, który mu dałem, to w następnym.

– No tak.

– A ja po prostu wiedziałem, ile życia z niego ujdzie po książce o Indianach, których czasem i tak nie sposób zrozumieć.

– Prawda – przytaknęła, wlewając do beczki ostatnie wiadro wody.

– Gran i tak starał się zachować rozsądek. Zbierał informacje o wybranych tytułach, potem je zamawiał. Wiadomo, pewnie jak emocje brały górę, to i czytał co popadnie, a nuż dowiedziałby się, jak wyleczyć syna.

– Ciekawe, jak ty postąpiłbyś na jego miejscu.

– Nie wiem – westchnął. – Aha, no i miały dojść do biblioteki nowe pozycje medyczne, o czym to ja mu nie powiedziałem. Jeszcze wpadłby w trans, zechciałby przeczytać wszystkie, skoro już tam przyszedł, rozumiesz.

Emma usiadła na wiaderku i oparła łokcie na kolanach.

– To też nie tak – mówił Es – że każda z książek zabrałaby mu dziesięć, dwanaście czy nawet piętnaście godzin z życia. Wiedzę z książki, której dotknął, musiał też przetrawić, przyswoić, nim zacznie kolejną, a to z kolei znaczyło, że książki medyczne najbardziej okradały go z sił i czasu. I zdrowia.

– Jeśli choroba jego syna rzeczywiście jest nieuleczalna – podrapała się po głowie, muskana słabym światłem lampki – to tak, to wpadł w pułapkę.

– Jak więc mogłem mu nie pomóc? Kto, jak nie ja?

\*\*\*

Bibliotekę zamykali o siódmej. Esau Ast i tak obawiał się, że nim tam dotrze, książko-filia pomieszana z miłością do chorego syna pokona Grana Wheatona.

Starał się uspokoić oddech, by nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Zastanawiał się, czy zakraść się do Grana, krępując mu następnie ręce, czy stanąć przed nim i powiedzieć otwarcie, w co się wpakował.

– Już ją pan przeczytał? – wyszeptała bibliotekarka Bridget.

Esau zorientował się, że to pytanie skierowane do niego, a następnie przypomniał sobie, że trzyma książkę... z wydartą pierwszą stroną.

– Prawie – odszepnął, na co bibliotekarka zmrużyła oczy.

– Poddał się pan?

Wiedział, że gdy odpowie twierdząco, wyda się jej podejrzany. Prosił w duchu, żeby nie powiedziała z grzeczności, „Odstawię ją za pana”.

– Zaraz doczytam. – Uśmiechnął się, wypuszczając powietrze nosem. — Już przyniosłem, ale zaraz jeszcze doczytam.

Odpowiedziała skinieniem głowy i przeszła do innego działu. Esau odetchnął, a następnie uprzytomnił sobie, że nie tylko stoi z książką w ręku, ale i nie ma niczego poza nią, w tym swojego rewolweru, który zostawił na ganku Wheatonów.

Esau wkroczył do pomieszczenia, w którym siedział Gran, i wyznał:

– Gran, chcę wam pomóc.

– Es, jesteś lekarzem? – zapytał Gran głosem rżącym i marudnym, ściągając wzrok z półki, na której pojawiły się nowe pozycje medyczne.

– Nie, ale wiem, jak was wyleczyć.

– Nas? Mój syn choruje. Znasz się na medycynie?

– Nie. Ale znam się trochę na Indianach, na ich czarach. I domyślam się, co wam zrobili: odmówili bezpośredniej pomocy, bo to, bo tamto, powiedzieli, że ta umiejętność pochłaniania książek może ci pomóc w... Poza tym, Gran, nie wszystko da się... czasami...

– No co?

– Nie powinieneś już więcej czytać...

Gran rzucił się w stronę półki z nowościami. Es nie spodziewał się, że Wheaton wpadnie na niego z takim impetem. Upadli. Astowi odebrało oddech. Sąsiad dodatkowo przygniótł go brzuchem, który dopiero co mu wyrósł, i już wyciągał rękę, by musnąć palcami tomy z najniższej półki. Udało mu się.

Es poczuł, jak coś ulatuje z Wheatona, jakby jakaś część jego życia. Potem zbił mu rękę, aż chrupnęło w nadgarstku.

– Starość nie radość – szepnął Esau.

Gran zaczął się po nim czołgać, oby tylko sięgnąć kolejnych tomów.

Es założył mu dźwignię, najpierw na jedną, potem na drugą rękę. Gran wyrzucił nogi do tyłu. Trącił etażerkę. Zachwiała się.

– Jak nas przygniecie – wyszeptał Esau, starając się blokować jego ruchy — to niewykluczone, że umrzesz. I to nie od wagi książek.

– Puść!

Esau czekał, aż ten się zmęczy. Kiedy tylko brakowało mu sił, łapał oddech i zaczynał się wrywać. Niedługo zajdzie tu bibliotekarka, zacznie ich rozdzielać.

Etażerka zaczęła się przewracać. Trzask. Coś pękło, zbiło się coś szklanego. Esau, jak zapaśnik, przerzucił staruszkę na drugą stronę, a potem docisnął go do podłogi. Tym razem próbował go unieruchomić jedną ręką, tak żeby drugą mieć wolną.

Ast sięgnął do kieszeni w bucie, w której trzymał zapalki. Spostrzegł, że łatwopalny bitumen wylewa się spod przewróconego regału. Wyciągnął pudełeczko, obrócił je między palcami, jak żeton, po czym spróbował, tak jak za dzieciaka, wyciągnąć i zapalić zapalkę dwoma palcami. Już ustawił ją pionowo, na drasce. Wystarczyło pstryknąć, żeby zapaliła się w locie.

Gran nadal się wrywał, błagając szeptem, żeby Ast tego nie robił.

Zapalka syknęła. Odbiła się od jednej książki, drugiej.

– Idioto! – warknął Gran.

Z pomocą jednego słoiczka bitumenu książki zajęły się ogniem, a zaraz potem ściany i podłoga.

– Co żeś narobił!

Ogień wzbierał na sile, dym kłębił się, buchając spomiędzy ksiąg. Gran uderzył Esaua łokciem w nos. Ten poluzował uścisk. Wheaton rzucił się w stertę książek. Już nie starzał się, gdy je dotykał. Niekompletne tomiszczą straciły moc sprawczą.

– Dlaczego? – powtarzał Gran, płacząc i kaszląc.

– Tak będzie dla was lepiej.

Gran wyszarpywał je spomiędzy półek, spomiędzy kłujących języków ognia. Esau tylko stał przy drzwiach, przyciskając je nogą, i czekał, aż Gran zrozumie, że powinni uciekać, nim dach zawali im się na głowę.

– Co się dzieje, proszę pana?! – krzyknęła bibliotekarka na całe gardło.

– Pożar! Zatrzasnęliśmy się! – Zakasłał. – Niech pani biegnie po pomoc!

Odczekał chwilę, słysząc, jak kilka par nóg wybiega z głównego holu biblioteki. Zauważył, że przypalają mu się spodnie, potem rękaw. Zaczął klepać się po całym ciele, jakby obsiadły go owady.

– Gran, podnoś się! Mamy teraz szansę. Wstawaj, nim wrócą, do cholery. Jeszcze wezmą cię za diabła i tu zostawią.

Esau wstrzymał oddech. Złapał Grana za kołnierz, wrywając go ze szponów ognia. Kiedy otworzył drzwi, płomienie, niby łapy dzikiego zwierzęcia, spróbowały ich jeszcze chwycić, a dym, gęsty jak mleko, próbował wgrzyzać im się w skórę, dostać do środka, przez nos, uszy.

Gran kulał. Esau zaryzykował, przystając na chwilę, aby uderzeniem łokcia oderwać od ściany puszkę z datkami. Zatrzęsło biblioteką. Więcej książek znalazło się na podłodze. Gran, nieco oprzytomniawszy, przeskakiwał je, omijał.

Świeże powietrze. Nareszcie. Udało się.

– Gran, pod górę! Wytrzymaj jeszcze, proszę.

Huk. Eksplozja. Odłamki desek wyleciały w powietrze. Poczuli ciepłe pchnięcie na plecach i łydkach.

Esau zdawał sobie sprawę, że jeśli nie uciekną stamtąd w ciągu najbliższych kilkunastu sekund, będą podejrzewani o pożar.

– Poczekaj! – wydyszał Gran, łapiąc się za serce.

Esau spojrział przez ramię, na ogień, który próbował sięgnąć kościoła metodystów, przy czym napotykał opór, jakby od tamtej strony wiał silny wiatr. Wiatr, którego nie było.

– Połóż się – powiedział Ast. – Tu już nas nie będą widzieć.

Gran padł na trawę, dysząc. Odczekał, aż uspokoi mu się oddech, i przekreślił się na plecy, kierując twarz ku niebu, na którym zaświeciły pierwsze gwiazdy.

– I co teraz? – zapytał Esau, siedząc i wpatrując się w płomienie, w ludzi biegnących wokół budynku. – Wyciągnąłem cię z chwilowej beznadziei. – Przełknął ślinę. — Tylko co dalej?

– Teraz będę żył.

– Słucham?

– Teraz będę żył. Wreszcie. Wsiądę na konia, pojedę przed siebie. Coś zrozumiałem. Odpowiednie prądy przeszły mi przez mózg, bo przez mózg przechodzą prądy, wiedziałeś?

– Hmm. Nie.

– To ja ci mówię. No i przepłynęły, za twoją sprawą, oczywiście.

Esau położył się na plecy. Sucha trawa trzeszczała pod nimi, kłuła nadgarstki i przepalone miejsca ubrań. Obserwowali gwiazdy.

– Dziękuję, Es. Wreszcie będę żył – powtórzył – choć nie wiem jak. Bo życia nie znam, ja życie przeczytałem.

– Nie szkodzi. Nikt nie zna życia. Jedno jest tylko pewne: żadna książka nas życia nie nauczy.

– To prawda, Es.

– Kto jak kto, ale ty chyba wiesz o tym najlepiej. Zanieść cię do domu?

– Zaraz przyjedzie mój syn.

– Przyjedzie?

– Tak się umówiliśmy. Da radę. Tyle ćwiczyliśmy jazdę na koniu. – Gran zaśmiał się, jak gdyby właśnie zrozumiał, że najlepszym lekarstwem dla jego syna będzie zwykła wiara w niego. W to, że tacy, jak on, też mogą odnaleźć swoje miejsce w świecie – i że to życie podpowie, gdzie jest to miejsce, a nie książki.

Es zastanawiał się, skąd wziął się ten wybuch, a przy tym tak gęsty dym, który wił się spiralami; przecież ogrzewania pastor jeszcze nie założył. Cóż, odpowiedź mogła być tylko jedna.

Poleżeli jeszcze chwilę.

I rzeczywiście, młody Wheaton przyjechał na koniu, machając energicznie głową na boki i mruczając pod nosem.

– Oj, tato, tato. Siu-siu-siu.

– Synu?

– To ja.

– Dobrze, że jesteś.

– Tato, tato, tato. Siu-siu-siu. Tato, tato, tato.

Chłopak zeskoczył i zagwizdał tak, że koń ustawił się tyłem do właściciela. Wskoczyli na siodło. Granowi coś wypadło, ale nie zwrócił na to uwagi. Spojrzał za to przez ramię z wdzięcznością.

– Gran, łap! — zawołał Esau i rzucił puszkę z datkami z biblioteki metodystów. – I tak poszłaby z dymem.

Ruszyli przed siebie. Chyba nie zamierzali wracać do domu pełnego książek. Które można przeczytać ponownie, bo przecież nie zawsze się wszystko pamięta. I tak jechali powoli, gdy młody Wheaton zapytał:

– Gdzie jedziemy? Siu-siu-siu.

– Przed siebie.

– Co będziemy robić? Czytać?

– Czytać znaki drogowe.

– Trzymaj, tato. Siu-siu-siu. Schowaj.

Es zauważył srebrny błysk między nimi. Błyszczący kwadrat.

*Wszystko na marne*, pomyślał Esau Ast i z ledwością przełknął ślinę.

\*\*\*

– Jaki błysk? – zapytała Emma.

– Srebrny błysk metalowych rogów książki, którą mały Wheaton wziął z domu.

– O matko! Przecież to jak zadać własnemu ojcu ostateczny cios. Kto wie, ile on uciągnąłby jeszcze książek.

– Na szczęście znalazłem rewolwer Grana, który wypadł mu chwilę wcześniej. I strzeliłem. Trafiłem.

Cisza. Esau poprosił żonę ruchem ręki, żeby podała mu strzelbę Winchestera, z którą wybiegła tej nocy przed ganek.

– Es, co ty wygadujesz. – Złapała męża za włosy, jakby po to, żeby go podtopić, a zarazem orzeźwić. – Co ty powiedziałeś?

– Trafiłem w sam grzbiet.

– Es!

– W sam grzbiet książki. — Zanurzył się w chłodnej wodzie aż po usta. – Rozpadła się, wyleciały kartki. Ojciec skłamał, że zna ją już na pamięć, więc gdy jego syn będzie chciał, opowie mu tę historię.



– Esau, ty jesteś nienormalny. – Uśmiechnęła się. – Ale i tak boję się, że Gran wróci do siebie. Mówiłeś przecież, że ma dużo książek. Medycznych, jeszcze nieprzeczytanych. Nadzieja umiera ostatnia. W dodatku nie tak łatwo zerwać z nałogiem.

– Kochanie, prosiłem, żebyś podała mi strzelbę.

Spełniła jego prośbę.

Esau wynurzył się i stanął na beczce. Woda zeń ściekała, trzęsły mu się nogi w kolanach. Zmrużył oczy, podnosząc broń. Celował przed siebie, daleko przed siebie.

– Nie wróci po nie. I nikt nie posądzi go o podpalenie biblioteki. Mnie może tak, no ale co, nie raz zdarzyło nam się przeprowadzać.

Wypalił. Huk poniósł się po okolicy, ale nie wyleciał dalej, zatrzymawszy się między pagórkami, mieniącymi się teraz ogniem płonącej biblioteki... oraz płomieniami ogarniającymi chatę Wheatonów.

Lampką spadła znad wejścia, rozbijając słoiczek z bitumenem, który zostawił tam Esau wraz ze swoim rewolwerem.

Esau wskoczył z powrotem do beczki, tym razem zanurzając się cały. Woda łagodziła poparzenia pęczniejące na całym ciele, podczas gdy ogień wypalał przeszłość Wheatonów, dosłownie i w przenośni, oraz ich chorobę, którą wyleczyć mogło jedynie życie z nią.

Astowie, prędzej czy później, będą musieli przeprowadzić się... w miejsce, gdzie nie trzeba będzie wbiegać i zbiegać z pagórków, za którymi kryją się niebezpieczeństwa, w tym podstępni Indianie, których nazwa, jak wiedział Esau Ast, wywodzi się z algonkińskiego *kiwegapaw*, co oznacza „być raz tu, raz tam”.

*Mojemu przyjacielowi Francuzowi,  
który znalazł już swoje miejsce*



# PRZEPROWADZAM DEKONSTRUKCJĘ RZECZYWISTOŚCI W AUTOHIPNOZIE

Bartłomiej Łysionek

- Bo to jest tak, panie doktorze, że czasem sam już się zastanawiam, czy to ze mną nie jest coś aby nie tak. Jakbym zdawał sobie sprawę z tego, że to, co słyszę, to nic nieznaczące odgłosy domu, że nie istnieje realne zagrożenie, nie ma się czego bać, ale nadal karmił się takim ogromnym lękiem, wie pan, co mam na myśli?

- Wydaje mi się, że rozumiem.

- Jak byłem mały, to okropnie bałem się ciemności. Nie mogłem spać wiele nocy bez zapalonego światła. Jakiś czas temu próbowałem sobie wytłumaczyć, czego tak naprawdę się bałem. Wie pan, do jakich wniosków doszedłem?

- Tak?

- W ciemności nie widać zagrożenia. To czego nie widać, nie znika. Wiadomo, że w ciemności też nie może pojawić się coś z niczego, ale z drugiej strony, czy rzeczy, których nie widzimy, nie są bardziej realne od tych, które możemy zobaczyć? Dotknąć? Kiedy trwałem w bezsennych nocach, usilnie próbowałem zaznać choćby godziny snu. Do głowy przychodziły mi myśli z minuty na minutę coraz okropniejsze. Wizje tego, co jest w ciemności. Kiedy wstawałem rano i szedłem do szkoły, świat wydawał się taki normalny, ale wrażenie okropieństw z mroku nadal pozostawało gdzieś z tyłu głowy. Kiedy gasiłem światło, nie było już świata, który widziałem za dnia, zjawy natomiast dalej były realne. Teraz historia się powtarza. Tylko wizje są straszniejsze. Nie pomaga już włączone światło. To jakby ciągły stres, ciągła walka myśli. Jakbym czuł obecność czegoś obok mnie, ale nie dopuszczał tego do świadomości. Zalewa mnie pot, czuję, jakby mi serce coś ścisnęło. Czy według pana jestem chory?

- Powiem panu szczerze, osobiście uważam, że każdy człowiek jest na swój sposób chory. Wykonuję swój zawód już prawie trzydzieści lat, nie licząc stażu i jakichś tam praktyk, i u każdego, kto do mnie przez ten czas przyszedł, byłem w stanie zdiagnozować jakiegoś rodzaju zaburzenie. Reszty ludzi nie diagnozowałem. Gdzie w takim razie kończy się zdrowie, a zaczyna choroba?

- To pan mnie pyta? Myślałem, że pan jest lekarzem.

- Racja. Ja tutaj jestem lekarzem. Tak więc nie wiem. Pan jest chory czy nie?

- To miało być pytanie retoryczne?

- Nie do końca. Sam się zastanawiam, myślałem, że pan mi pomoże.

- Czy pan się dobrze czuje?

- Bywało lepiej, proszę pana, ale bywało też gorzej. Dziękuję za troskę. A wracając do pana problemu, to nie wiem, jak panu pomóc. Nie uważam, żeby był pan największym wariatem, jakiego znam, nie jest z panem jednak do końca dobrze. Co się panu stało, pan mi powie?

- Kiedy mi się stało?

- Dawno.

- Bardzo dawno?

- Jak najdawniej pan sobie przypomni.

- To nie wiem. Hm... Ciężko tak na szybko. Tak sobie myślę... Kiedy miałem tak z pięć lat i obudziłem się w środku nocy, zorientowałem się, że nikogo nie ma w domu. Jak szedłem spać, to wszyscy byli, więc było to dla mnie nie lada zaskoczeniem. Zacząłem krzyczeć

i próbowałem wyjść z domu, ale drzwi były zamknięte. Nie wiedziałem, jak się korzystać z telefonu, głównie dlatego, że jeszcze nie znałem zapisu cyfr. Wybierałem więc przypadkowe numery i naciskałem zieloną słuchawkę. Na moje nieszczęście nie udało mi się dodzwonić do rodziców. W pewnym momencie głowa bolała mnie już tak bardzo, ze stresu i płaczu oczywiście, że położyłem się i zasnąłem. Takie coś może być?

- Czyli kojarzy pan ciemność z silnym stresem i płaczem. To co pan się dziwi, że pan odczuwa niepokój w ciemności?

- No teraz się tak nie dziwię, ale nie wiedziałem wcześniej...

- Pacjent nieświadomy. Później zapiszę sobie w notatniku. Współpraca z panem to czysta przyjemność. Proszę przyjść za dwa dni o tej samej porze.

- To już skończyliśmy? Nic mi pan na ten temat nie powie?

- Na jaki temat?

- Mojej traumy czy lęków?

- Niewiele mi pozostało do dodania. Zanalizował pan temat bardzo dogłębnie. Jestem z pana dumny. Do zobaczenia za dwa dni! Proszę nie zapominać o codziennej pracy nad sobą!

- Tylko jakiej pra...

- Do widzenia panu!

Pan doktor grzecznie podał mi płaszcz i otworzył drzwi. Zawsze zastanawiałem się nad kompetencjami doktora Walidow, ale nigdy nie zdecydowałem się na zmianę specjalisty. Przyciągało mnie do tej przychodni coś, czego nie potrafię wytłumaczyć. Koniec końców, problem pozostał, następna sesja za dwa dni, a przede mną jeszcze dwie nieprzespane noce pełne bólu egzystencji. Dwie noce zagłuszania własnych myśli symfoniami Mozarta, dwie noce nieświadomości. Tak jak mówiłem doktorowi, wizje, które dotyczą mnie teraz, nie różnią się znacznie od tych sprzed lat, są tylko straszniejsze i bardziej inwazyjne. Kiedyś mogłem prowadzić normalne życie za dnia. Teraz przytłacza mnie każda minuta, która zbliża mnie do zachodu słońca. Spada na mnie ta myśl i wgniata w ziemię, sprawia, że czuję się, jakbym mdlał, jakbym nie żył w rzeczywistym świecie, wszystko jest spowite mgłą, ledwie widzę cokolwiek.

W szybkim tempie zbliżał się do mnie starszy jegomość ubrany w brązowy, skórzany płaszcz. Taki płaszcz z tych dłuższych, prawie do kolan. Podobno teraz się takie nosi, bo to takie oldschoolowe. Przyspieszyłem kroku. Starzec również przyspieszył. Po chwili zrównał się ze mną i zsynchronizował częstotliwość swoich kroków.

- Pan się nie czuje najlepiej. - W dziwny sposób zagaił mnie nieznajomy.

- Pan też nie wygląda.

- Za to lepiej niż pan. Kiedyś też tak myślałem, że wszystko jest proste. Zero i jeden. Potem byłem w takim stanie jak pan. Totalna destabilizacja świata. Jakby wszystko się rozpadało, wie pan, o czym mówię?

- Świat się panu załamał?

- Jak pan płytko myśli! Płakać mi się chce!

- Stało się coś?

- Nic strasznego. Musiałem dzisiaj pochować swojego psa. Coś mu się chyba stało.

- Co takiego?

- Zakopałem go w ziemi.

- Dlaczego?!

- Niezbadane są wyroki boskie. Jakbym wziął wszystkie ostatnie informacje podawane w telewizji, mogę śmiało stwierdzić, że jutro wybuchnie wojna.

- Średnio chce mi się w to wierzyć. To za wcześnie. Kto miałby w niej walczyć?

- Żołnierze.

- To niedorzeczne, co pan wygaduje!

- Nie lubię, jak się mnie zaczepia na ulicy proszę pana. Nie dam panu żadnych pieniędzy.

Odszedł tak szybko, jak mnie dogonił. W losowości moich myśli dostrzegłem jednak określony porządek, choć nie potrafię go jeszcze do końca scharakteryzować. Może to krańce moich niepokładanych myśli, gdzie teraz się znajduję? Bo tutaj istnieje tylko absurd. Taki w najczystszej postaci. I mijam tak piękne sady, które już dawno obsypane są popiołem codziennych spraw i smutków, przesiąknięte żalem gromadzonym wiele lat. Widziałem tutaj dużo płaczu, widziałem dużo miłości, takiej dojrzałej i takiej niewinnej, jeszcze nieświadomej. Jeśli jednak osiągnę sukces i w tym samym czasie spotka mnie przykrość, sukces znika w jednym momencie. Żal zostaje na zawsze, szczęście trzeba uzupełniać codziennie. Za dużo ludzi potrzebuje szczęścia, zaczyna go nam brakować. Dlatego to miasto jest szare. Brudne od popiołu, zamglone i opuszczone. Mijam przechodniów na ulicy, a nie widzę nikogo. Jest środek lata, a mnie przenika chłód. Gdzie ja jestem? Nie poznaję tej okolicy. Tutaj jest ogrodnik. Schowany w krzakach, co on tam robi?

- Przepraszam! Pan tutaj mieszka?

- Tutaj są tylko owoce. Nikt tu nie mieszka.

- A bezdomni?

- Nie mieszkają nigdzie.

- Nie o to dokładnie mi chodziło.

- Spierdalaj pan.
- Czemu tak niekulturalnie? Ja tylko zapytać się chciałem o drogę.
- Którą?
- Do domu.
- Nie wiem przecież, gdzie pan mieszka!
- Na Chopina.
- Nie obchodzi mnie to!
- Mnie to bardzo obchodzi, ale nie mogę tam trafić!
- To czemu pan nie zacznie szukać?!
- Usilnie się staram!
- Co?!
- Szukać!
- Przecież stoisz pan w miejscu!
- Czemu się pan wpierdala w nie swoje sprawy?!

Odszedłem oburzony. Jakby weszła mi w krew agresja. Chcę coś zniszczyć. Mógłbym wyburzyć ten stary blok, czy też starą kamienicę? Jakby przeplatała się architektura, kończyło się nazewnictwo, stała się po prostu rzecz. Nieokreślona istota z cegieł i betonu. Jakby nagle zabrakło słów, wszystko przemija mi przed oczami, ale w moich myślach staje się niczym. Jakbym wpadł w świat bez ekspresji, bez wyrazu, bez sensu. Jak cokolwiek może mieć sens, skoro nawet nie potrafię go zdefiniować? Co jest sensem? Czy nie oznacza on dla każdej osoby czegoś innego? Czy sens w takim razie istnieje? Czy jeśli przestanie dla mnie istnieć, to czy moje życie stanie się puste i wpadnę przedwcześnie do grobu? Układam się wygodnie, staram się znaleźć jak najwięcej komfortu w cmentarnej ziemi. Słońce świeci mi prosto na twarz. Grób jest jeszcze nie zasypany. Nie wiem, kiedy minęły moje ostatnie chwile. Może nie były ostatnie? Kto może to osądzić? Zakładam, że nikt. Słyszę kroki. Ciekawa sprawa jak wyraźnie słyszeć kroki, kiedy leżysz w głębokim dole. Tak nienaturalnie. Zobaczyłem twarz nad sobą. Pan w średnim wieku w czapce z daszkiem wpatrywał się we mnie badawczo. Po chwili zmrużył oczy i splunął mi na twarz.

- Co pan, kurwa, wyprawia?! - krzyknąłem zaskoczony.
- To pan żyje?!
- Nie jestem do końca pewien. A jak wyglądam?
- Osobiście nie zwykłem być oceniać urody mężczyzn.
- A martwi mogą być przystojni?
- Mnie nic o tym nie wiadomo.

- Chyba nie jestem taki do końca martwy, skoro pan nie wie.
- To nie mnie oceniać.
- To kto mógłby?
- Ksiądz?
- Jaki?
- No pewnie proboszcz.
- A gdzie on jest?
- No w kapliczce, tam gdzie zwykle. Pójść po niego?
- Jakby pan mógł.
- No bym mógł.
- To bym podziękował.
- Poprosił.

I odszedł w stronę kapliczki. Nie było go parę chwil, jeśli czas w ogóle może istnieć. Przyzwyczailem się do lodowatej, wilgotnej ziemi, zadomowiłem się w mojej mogile, tracąc prawie całkowicie pewność co do mojej żywotności. Zobaczyłem tym razem dwie twarze, wcześniejszego znajomego w czapce i dosyć tęgiego proboszcza.

- Pana to coś popierdoliło? - rozpoczął rozmowę proboszcz.
- Ciężko stwierdzić, proszę księdza.
- Mnie też dosyć ciężko. Co pan robi w moim grobie?
- Nie wiedziałem, że to księdza.
- Wszystkie tutaj jest moje.
- Tyle razy ksiądz umierał?
- Każdego dnia, mój synu. Każdego dnia.
- To dobrze ksiądz wygląda mimo wszystko. Mam pytanie.
- Ja też mam wiele pytań, na które nie jestem w stanie uzyskać odpowiedzi.
- Tylko że ksiądz może znać odpowiedź.
- Skąd wiesz?
- Ten pan mi powiedział.
- Na pana miejscu nie ufałbym nieznanemu.
- Czy ja jestem martwy?
- A kto z nas nie jest?
- A pomoże mi ksiądz stąd wyjść?

Proboszcz podał mi rękę i z trudem wyciągnął mnie na powierzchnię. Temperatura nie zmieniła się jakoś diametralnie. Chłód jest taki sam. Czemu tak nienawidzę tego miasta?

- Dziękuję księdzu za pomoc. Muszę już chyba iść do domu. Zaczyna się robić ciemno.
- To bardzo zdrowo. Z Panem Bogiem, mój synu.

Słońce miało się już ku zachodowi. Przemykałem wymarłymi uliczkami obierając jak najkrótszą drogę do domu. Mam jeszcze godzinę. Została tylko godzina i mój dom zamieni się w trupiarnię w nowoczesnym stylu. Takiej czystej groteski, w ciężkim gotyckim stylu. Czy to w ogóle jest możliwe? Jestem już tak blisko. Odległość przestaje mieć znaczenie. Została mi godzina. Czas. Czas przestaje mieć znaczenie. Kiedy kładłem się do łóżka, ojciec życzył mi dobrych snów. Dobry ojciec położył mi dłoń na czole i pobłogosławił. Niewiele rozumiałem z tych wszystkich religijnych dogmatów, wiadomo przecież, że pięcioletniemu dziecku obca jest technika myśli czysto abstrakcyjnej chociażby o niekończonych cierpieniach w międzywymiarowym więzieniu zwanym potocznie piekłem. Poddawałem się ślepo wszystkiemu, o czym usłyszałem. Człowiek dorosły, który żyje na tym świecie więcej lat ode mnie, na pewno ma szersze pojęcie o nieśmiertelnej duszy niż ja w tej chwili. Zamknąłem oczy. Puste myśli przepływały przez moją głowę, cicho tuląc mnie do snu. Wydawało mi się, jakbym przez chwilę balansował pomiędzy snem a jawą i w tych półsennych majakach słyszał przeróżne szmery i skrzypienia. W jakim świecie się znalazłem? Wstałem z łóżka. Chyba wstałem z łóżka. Wydaje mi się, że zszedłem po schodach na parter, by zobaczyć puste pokoje krzyczące martwą ciszą w moją stronę. Gdzie ja się znalazłem? Próbuje otworzyć oczy. Jakbym był ponad tym. Pociągam za klamkę, nie ma efektu. Gdzie ja się znalazłem? Podbiegłem do telefonu. Nigdy sam go nie obsługiwałem, ale widziałem, jak robi to mama. Oczywiście rozmawiałem przez telefon, ale system zapisu cyfr nie był mi jeszcze znany. Wybrałem przypadkowy numer i wcisnąłem zieloną słuchawkę. Jeden sygnał. Płakałem. Przy akompaniamencie cichego zawodzenia, żalonych szlochów nasłuchiwałem puste sygnały w słuchawce telefonu. Drugi sygnał... Moje małe serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Nigdy wcześniej nie biło tak szybko. Trzeci sygnał. Nie mogę otworzyć oczu. Czwarty sygnał.

- *Halo? Po chuj do mnie tak późno dzwonisz?!*
- Cześć, Marcin. Dopiero co przyszedłem do domu i stwierdziłem, że zadzwonię.
- *O pierwszej w nocy?!*
- Chyba każda pora jest dobra żeby usłyszeć przyjaciela, co nie?
- *Zabiję wszystko, co kochasz. Obiecuję.*
- Też było miło cię słyszeć. Dobranoc, Marcin.
- *Skur...*

Nigdy nie usłyszałem głosu przyjaciela w słuchawce. Nie wiem czy jestem gotowy, żeby wejść z kimś na ten poziom relacji. Co mnie ogranicza? Skąd wzięła się bariera, która



odcina mnie od ludzi, od wszystkiego, co pochodzi spoza mojego pokoju? Światła gasną, ciemność wpada już zza okna, miasto przestało szumieć. Cisza. Ta z tych najgłośniejszych. Kiedy staram się zagłuszyć myślami to wszystko, co słyszę dookoła. Wiem, że ktoś postawił krok w kuchni, nie wyjdę sprawdzić, czy to prawda. Skulę się jeszcze bardziej, myśli przyplywa coraz więcej. Drzwi do drugiego pokoju się domknęły. Nie ma żadnych otwartych okien w mieszkaniu. Wiem, że ktoś jest na korytarzu. Przecież nie mogłem wyjść. Wypada mi z głowy tona kolejnych treści, już nie mogę nie myśleć o tej obecności. Jakby były we mnie dwie osoby. Jestem racjonalny, radzę sobie ze swoim lękiem, trzymam go z dala od siebie. Zaczynam wariować i boję się tego, co się za chwilę może wydarzyć. Chcę stąd uciec. Łóżko przestało być wygodne, grzejnik nie daje już ciepła. Czemu jest mi tak zimno?

- Mógłby pan doktor trochę włączyć ogrzewanie? - spytałem. - Nie mogę wytrzymać tego zimna...

- Mój drgi pnie. Ne d sę trchę włączyć gzejnika. Mżna go włączyć cłkiem abo wyłączyć. Pn ma prblem z wrbalizacją soich uuć.

- Przecież wie pan doktor, o co mi chodzi. Przecież tak się mówi... Czy ja jestem chory?

- Ptanie, kóre ja chałbym zdać jst ine. Czy są ttaj ldzie zrowi?

- Pan leczy już ludzi od trzydziestu lat i nigdy nie widział pan doktor osoby zdrowej. Idąc tym tropem, ja też jestem chory. Widzę, że nie jest najlepiej z panem. Czy panu coś aby nie dolega? Występują nudności, biegunka, czy może częste migreny?

- To chba sę zaczęło kedy małem z pęc lat. Mże mej. Jkbym sę zpadał. Tlko ne tk w penośni. Dsłownie. Zpadałem sę. Ge sę poała struktura?

- Wypiszę panu potrzebne leki. Za tydzień będzie pan jak zdrowy, panie doktorze.

- Cy ja jstem chry?

W pustce patrzyłem na swoje własne, zniszczone życiem ciało, na swoje własne, ostępiałe myśli, moje lęki, obawy i paranoje. Rozkładałem wszystko na części pierwsze, przechodziłem do nowych poziomów świadomości, połączyłem się ze wszystkim i niczym zarazem. Wpadłem w pustkę. Czmu ne mgę oworzyć ou?



# SAMOTNOŚĆ

Krzysztof Szabla

Edgar pisał wiersze, przysyłał mi czasem fragmenty. Były koszmarnie. Twierdził, że się nie znam i nie dostrzegłbym prawdziwej sztuki, nawet gdyby stanęła obok i uderzyła mnie w twarz.

Gregory bardzo szybko nabawił się depresji. Czuł się jak szczur zamknięty w klatce, nie sprzyjało mu ciągle przesiadywanie w czterech ścianach. Wcześniej dużo podróżował, a teraz mógł jedynie przeglądać stary atlas geograficzny i odkrywać w pokoju nowe miejsca, gdzie zgromadził się kurz.

Anna lubiła koty, ale nie pozwolono zabrać ze sobą żadnych zwierząt. Jej kochane mruczki zostały daleko od niej, choć na pewno nie przeszkadzało im to tak jak ich opiekunce. Nie rozumiały powagi sytuacji i nie przeżywały tak mocno pewnych zdarzeń jak ludzie.

Alan wyrobił sobie własną teorię spiskową i ciągle dolewał oliwy do ognia. Twierdził, że padliśmy ofiarą eksperymentalnego programu rządowego, sprawdzającego nasze zachowania w wyniku oderwania od społeczeństwa. Mimo ciągłych narzekań wcale nie miał zamiaru wychodzić, bo za bardzo się bał, że spotka go coś naprawdę paskudnego.

Nigdy żadnej z tych osób nie widziałem, mogłem jedynie z nimi pisać. Łączyliśmy się przez coś na podobieństwo intranetu, nie mieliśmy natomiast żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, nie wiedzieliśmy, co tam się dzieje. Siedzieliśmy zamknięci we własnych kwaterach. Powiedziano nam jedynie, żebyśmy ich nie opuszczali, bo umrzemy.

Jedzenie i picie dostarczał automat. Wiele więcej do życia nie potrzebowałem. Tęskniłem za dawnymi czasami, ale co mogłem zrobić? Spanie i żarcie stanowiły podstawę odwiecznego cyklu. Po cóż nam cokolwiek więcej, prawda?

Żałowałem, że nie zabrałem ze sobą żadnej książki. Mógłbym przeczytać ją setki razy, wyuczyć się każdego zdania na pamięć, a potem po opuszczeniu czterech ścian wyrecytować całość przed oniemiałą publicznością. Przynajmniej byłoby to sensowniejsze niż gapienie się w ścianę, czy kontaktowanie z ludźmi, których nawet na oczy nie widziałem.

Pewnego dnia Edgar napisał, że słyszał jak ktoś wyszedł. Trzasnęły drzwi, a potem rozległy się kroki. Zawołał, ale nikt nie odpowiedział.

„To na pewno Gregory nie wytrzymał presji” - stwierdził.

„Niemożliwe, kontaktowałem się z nim przed chwilą. O niczym nie wspominał”.

„To jeszcze nic nie znaczy. Chciał, żebyś o tym nie wiedział. Ja też wychodzę. Nie będę tu dłużej siedział”.

„Nie wolno ci. Inni pójdą za tobą. Na pewno zginiecie. Nie chcę zostać tutaj kompletnie sam”.

„Już jest bezpiecznie”.

„Tylko w swojej kwaterze możesz czuć się niezagrożony”.

„Nie wierzę w to wszystko. To ściema”.

„Wcześniej jakoś ci to nie przeszkadzało”.

„Kiedyś musi nadejść taki moment, że zmienia się zdanie”.

Potem zaczął gadać jak Alan, ciągle nawijając o tych samych teoriach spiskowych. Widocznie wystarczy jedna niestabilna jednostka by zachwiać nawet najbardziej sprawnym systemem.

Potrwało to jakiś czas, ale w końcu mu przeszło. Znow zaczął przysyłać wiersze.

Następna była Anna. Ją także dopadły wątpliwości. Czyżby Alan w każdym z nas powoli zasiewał ziarna niepokoju?

„Można już wyjść jest bezpiecznie” – napisała pewnego dnia.

„Skąd wiesz?”

„Otworzyłam drzwi i przeszłam się po korytarzu. Nic mi się nie stało, a to oznacza, że mogę iść, dokąd chcę”.

„Jasne, jakoś ci nie wierzę. Podejdź pod moją kwaterę i zastukaj”.

„Nawet nie wiem, gdzie cię szukać. Ten budynek jest ogromny. Ma setki, a może i tysiące drzwi”.

Następnego dnia twierdziła, że wcale nie wyszła, a to wszystko jej się śniło.

Edgar także nie opuścił swojej kwatery. Bałby się nawet dotknąć klamki.

W końcu nastąpił kryzysowy moment także w moim życiu. Alan dostatecznie mocno podkopał moją pewność siebie. Nie mogłem już dłużej siedzieć w zamknięciu. To było totalnie bezsensowne. Stwierdziłem, że wszystko mi jedno, nawet jeśli niebezpieczeństwo, przed którym mnie ostrzegano, to prawda. Znałem już moich towarzyszy lepiej niż siebie, opowiedzieliśmy sobie wszystko, co mogliśmy. Nie dało się dłużej wytrzymać w czterech ścianach. Jeszcze moment i na pewno bym zwariował, o ile już to nie nastąpiło. Musiałem wrócić do świata, jaki znałem wcześniej i otworzyłem te przeklęte drzwi.

Za nimi faktycznie był korytarz z dziesiątkami innych pomieszczeń. Nic się nie stało, powietrze nie wypaliło mi dziury w płucach. Nie wiedziałem nawet, czego się spodziewać. Stosu trupów pod progiem? A może tego, że zaraz po przekroczeniu niewidocznej linii ze ściany wystrzeli promień lasera i przepiłuje mnie na dwie części albo z kąta wyskoczy zmutowana bestia i mnie pożre? Przez tyle czasu spędzonego w zamknięciu dorobiłem się różnych wizji świata na zewnątrz, mieszając własne teorie z wymysłami pisarzy science fiction. Czułem się jak kompletny dureń, kiedy zobaczyłem, że wszystkie drzwi są otwarte na oścież. Inni dawno już opuścili swoje klatki, a ja przez cały czas tkwiłem w nieświadomości.

Wróciłem do komputera, by jak najszybciej powiadomić o tym pozostałych. Tylko Edgar mi odpisał.

„Brawo. Ja już dawno wyszedłem, tylko nie chciałem ci o tym mówić, bo byłoby ci smutno.”

„Co? Jak mogłeś mi to zrobić? Jest bezpiecznie? Dokąd poszedłeś?”

„Na końcu tego korytarza są schody. Na górze znajdziesz duży biały pokój. Tam na ciebie czekam.”

Myślałem, że zaczął już normalne życie poza budynkiem. Czyżby wciąż nie było tam bezpiecznie?

„Zawiodłem się na tobie. Powinieneś był mi powiedzieć.”

Nie odpisał, więc udałem się we wskazane miejsce. Powinienem się cieszyć i skakać z radości na myśl, że więzienie dobiegło końca, ale z jakiegoś powodu nie doznałem ulgi, wręcz przeciwnie, dręczył mnie spory niepokój. Czy to przez fakt, że tak dawno nie widziałem drugiego człowieka i zapomniałem, jak powinienem się zachowywać, a może po prostu wciąż obawiałem się wyfrunąć z gniazda i bezpiecznie czułem się jedynie w swoim starym lokum?

Wszedłem po schodach i znalazłem duży biały pokój. W środku nikogo nie zastałem, stał tam jedynie komputer, taki sam jak w mojej kwaterze. Na wyświetlaczu zobaczyłem komunikator Edgara i przebieg naszej ostatniej rozmowy. Był tutaj, ale odszedł. Dokąd? Czyżby bał się spotkania ze mną?

Nagle na wyświetlaczu pojawił się nowy wpis.

„Gratuluję. Dotarłeś do celu.”

„Gdzie jesteś? Skąd do mnie piszesz?”

Rozejrzałem się. Obserwował mnie przez ukrytą kamerę? Poczulem się jak aktor na scenie, z którego śmieje się niewidoczna publiczność.

„Przecież stoję przed tobą” – odpisał.

„Nie rozumiem.”

„Jestem też Anną, Alanem, Gregorym i wszystkimi innymi osobami, z którymi się komunikowałeś. Oni już dawno nie żyją. Czy ma to jakieś znaczenie? Żadnego. Przejąłem ich osobowość i utrzymywałem cię w przeświadczeniu, że korespondujesz z prawdziwymi ludźmi. W sumie można powiedzieć, że nigdy nie byłeś sam, bo miałeś mnie. Ciągle stałeś obok i dotykałeś mnie palcami, wklepując ciągi słów, nie mających tak naprawdę żadnego znaczenia dla nikogo poza tobą. Jesteś ostatnim żyjącym człowiekiem. Możesz być z tego dumny, choć ten stan nie potrwa długo. Gdybym odczuwał emocje, pewnie byłoby mi smutno, że ty także odejdziesz i nie będę miał już z kim się kontaktować. Na szczęście pod tym względem mam lepiej niż jakakolwiek istota żywa. W tym momencie nie odczuwam kompletnie nic.”



# WCIELENI

Dariusz Sprenglewski

Zadzwonił telefon – normalna osoba by go odebrała, Anna Bler nie. Spojrzała na ekran. Pilot od telewizora wypadł spomiędzy jej palców, rąbnął o panele i rozpadł się na części, które poleciały w trzech różnych kierunkach. W okna bębnił deszcz, w kuchni gwizdał czajnik, w telewizorze furczał reklamowy bełkot. Wszystko przecinał dzwonek stylizowany na peerelowski telefon.

– Czemu nie odbierasz? – zapytał stojący w kuchennym aneksie Piotr. Sięgnął po czajnik i nalał wrzątku do dwóch kubków. – Jeśli nie chcesz odbierać, wiesz, że możesz wyciszyć dźwięki?

Anna zbyła narzeczonego milczeniem. Gapiła się w wyświetlacz. Dzwonił Piotr. Ten Piotr, który robił jej herbatę i którego telefon, wygaszony, leżał na stoliku kawowym obok jej smartfona.

Podniosła telefon, nabrała do płuc powietrza, jakby miała zanurzyć się w odmętach ciemnych wód. Odebrała.

– Tak, słu... słucham?

– No, nareszcie udało mi się do ciebie dodzwonić.

Mimo trzasków Anna rozpoznała głos narzeczonego. Zamarła.

– Masz straszne problemy z zasięgiem. Ciężko się do ciebie dobić. Ale nie o tym chciałem... Słuchaj, przepraszam, Kotek. Wiem, nawaliłem. Nie powiem, że to był ostatni raz, ale... kurde, kiepsko mi idą te przeprosiny. Miałem nawet przygotowaną mowę. Dobra, do rzeczy, zanim znowu cię wetnie dziura zasięgowa. To było ostatnie zlecenie. Już kończymy. Będę jutro, na pewno, choć pewnie dopiero wieczorem. Ale będę.

Anna Bler powoli obróciła głowę w stronę kuchni. Piotr stał z dwoma kubkami i równocześnie wołał coś z telefonu.

– Aniu, wszystko w porządku? Kto dzwoni?

– Halo? Kotek? Jesteś tam? Chyba znowu nie masz zasięgu. Będę jutro. Obiecuję.

– Aniu, dobrze się czujesz?

– Nie wiem, czy mnie ...łaś. Spróbuję zadz... ..eszcze ...az.

Koniec połączenia. Anna spojrzała na telefon, na znajomą tapetę i ikony na pulpicie. Telefoniczny Piotr znowu zadzwonił. Nagły skurcz żołądka i uderzenie gorąca, w kark, w skronie i policzki. Silne mdłości. Bardzo silne.

– Mam odebrać? – Piotr wszedł do części salonowej.

Gdy tylko postawił kubki na stoliku kawowym i wyciągnął rękę do Anny, smartfon beczelnie zamilkł. Anna spojrzała na narzeczonego, potem na wygaszonego smartfona, odblokowała go i weszła w listę połączeń.

Pusto. Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i jeszcze raz spojrzała na listę. Nie było śladu ani po nieodebranym połączeniu, ani po tym odebranym chwilę wcześniej. Wiedziała, co to oznacza i wołała być teraz jak najdalej od Piotra, który, co prawda, słyszał o jej przypadłości, ale nigdy nie widział jej skutków na własne oczy.

– Przepraszam. Ja... muszę się przejść.

Odłożyła telefon, wyminęła Piotra tak, by go nie dotknąć. Pognała do sieni. Wciągnęła glany, narzuciła sztormówkę i wyszła z wynajętego domku.

\*\*\*

Ścieżka z ubitego piachu wiła się między gęsto rosnącymi drzewami. W zaroślach coś zamigotało. Anna zamknęła oczy, mocno pokręciła głową, jakby mogło to wytrząsnąć niechciane myśli z jej głowy. Dostrzegła kolejny ruch na granicy pola widzenia. Obróciła się i nic nie dostrzegła. Jakiś cień poruszył się z boku. Zlustrowała zarośla, wychyliła się, by zajrzeć za grubsze pnie. Obróciła się ponownie.

Krzyknęła!

Stała przed nią Gosia. Naga. Cała zalana szkarłatnymi strugami. Stała i gapiła się na Annę. Ruszała ustami, lecz nie wydobywał się spomiędzy nich żaden dźwięk.

Anna postąpiła o krok w tył, jeden, drugi, trzeci, obróciła się i zerwała do ucieczki. Biegła, zmuszając zastałe pracą biurową mięśnie do nadludzkiego wysiłku. Łykała powietrze, które wbijało zimne igły w płuca. Nie zamierzała zwolnić.

Wybiegła na porośnięty wysoką trawą brzeg jeziora. Stała. Dopiero teraz odważyła się spojrzeć za siebie. Nikt i nic jej nie goniło. Nic nie majaczyło w zaroślach. Cisza i bezruch.

Osunęła się na kolana. Załkała. Wbiła palce w głowę i krzyknęła. Śniadanie opuściło jej żołądek.

Próbowała się podnieść, ale gdy tylko wstała, mdłości wróciły ze zdwojoną siłą. Ze zwieszoną głową czekała, aż jej ciało odzyska choć odrobinę równowagi.

Wstała powoli. Z kieszeni kurtki wyciągnęła paczkę chusteczek. Jedną wytarła usta, drugą załzawione policzki i oczy. Na drżących nogach weszła na pomost. Chybotał się przy każdym kroku. Usiadła na jego końcu, tyłem do jeziora. Wpatrywała się w ścieżkę wypadającą z lasu.

Bezwiednie zaczęła się bujać w przód i w tył.

\*\*\*

Gdy niebo pokrył szron szarości, głód zwyciężył ze strachem. A może to strach przed wieczornymi cieniami zwyciężył ze wszystkimi innymi lękami. Anna, nie spoglądając na boki, wróciła pod domek. Stała na ganku. Zerkała to na kłamkę, to na drzwi, czasem na przycisk dzwonka.



Nacisnęła klamkę – otwarte. Rozebrała się i weszła do salonu oddzielonego od kuchennego aneksu wąskim stołem z trzema krzesłami. Na jednym siedział Piotr. Popijał zieloną herbatę. Na blacie leżały dwa puste talerze. Górowały nad nimi solniczka i pieprzniczka, choć takie zdrobnienia nie pasowały do wielkich, drewnianych słupów, które mogłyby posłużyć za kije baseballowe.

– Chcesz herbaty? – zapytał Piotr.

Pokiwała nieśmiało głową. Zajęła miejsce przy stole. Piotr nastawił wodę, a gdy się zagotowała, wrócił do stołu z kubkiem herbaty i wyciągniętym z lodówki talerzem naleśników. Nałożył kilka najpierw sobie, potem Annie.

– Więc... – zaczął, siadając na swoim miejscu – pogadamy o słoniu w pokoju?

Anna przełknęła kawałek naleśnika i popiła herbatą. Odstawiła kubek.

– Ja... nie wiem. Uznasz mnie za...

– Nie uznam. A teraz, Aniu, kto cię tak... rozstroił? Kto dzwonił?

Zamknęła oczy, wciągnęła powietrze ze świstem. Wypuściła je powoli.

– Ty do mnie dzwoniłeś – wyszeptała.

– Ja? No, tego się nie spodziewałem, ale... to pewnie tylko jakaś pomyłka.

– Pomyłka? – Anna spojrzała na Piotra z nadzieją tłącą się w oczach.

– Ludzie latają po orbicie, gadają z innymi z drugiego końca świata, nawet uprawiają seks na odległość. Prędzej czy później musiał pojawić się błąd w Matriksie.

– Łatwiej byłoby mi w to uwierzyć, gdybyśmy żyli w Matriksie.

– Rany, ze wszystkiego musisz robić takie problemy? To może konsultant-stażysta sprzedał dwa razy taki sam numer i teraz jest babol. Albo było zwarcie w satelicie, w stacji nadawczej, przekaźniku, burza solarna zakłóciła sygnał. Jest milion wytłumaczeń.

– W tym to jedno.

– Nie jesteś swoim ojcem, Aniu.

– Tu nie chodzi tylko o telefon. Jest... jest coś jeszcze. Ja... kiedy wyszłam... widziałam Gosię. Ona stała tam, tuż przede mną, cała... we krwi.

– Makabryczne.

– Tata też widział tak... mamę – Anna spuściła głowę, upiła łyk herbaty. – Możemy zmienić temat?

– Ze mną też masz takie wizje? Często mnie widzisz zadżganego?

Anna podniosła wzrok na Piotra. Wpatrywała się w niego, nie dowierzając, że wystrzelił z największej armaty prosto w jej najczulszy punkt.

– Więc mówisz, że nie jestem swoim ojcem?

– Nie jesteś. Absolutnie nie. Ale chyba mam prawo trochę się obawiać. Nie chcę skończyć jako szaszłyk.

– Pójdę się położyć. – Wstała od stołu. – Przepraszam, ale jestem bardzo zmęczona. Dziękuję... za kolację.

– Aniu, chyba się nie obrażasz?

– Nie. Po prostu jestem zbyt zmęczona na tak poważną rozmowę. Przepraszam. Dobranoc.

Podeszła do Piotra, nachyliła się i pocałowała go w policzek. Nic nie odpowiedział, pokręcił tylko głową i wrócił do naleśników. Anna oddaliła się w stronę łazienki. Tego dnia nie rozmawiali więcej.

\*\*\*

Choć deszczowy poranek już minął, ciężkie, stalowoszare chmury nadal zasnuwały niebo. Dzień był jaśniejszy od nocy ledwie o kilka tonów. Anna obudziła się w pustym łóżku, spojrzała na ścienny zegar – wskazywał południe. Odgarnęła z twarzy skołtunione włosy, przetarła oczy, usiadła. Zmusiła się, by wyjść z sypialni.

Rozwalony na kanapie Piotr jadł kanapki i oglądał wiadomości. Nie podniósł nawet wzroku, gdy Anna stanęła przed telewizorem.

Przeszła do aneksu, otworzyła lodówkę. Pusto. Odpaliła palnik pod czajnikiem, chciała wrzucić torebkę herbaty do kubka, ale okazało się, że w kartoniku już żadnej nie ma. Wyłączyła kuchenkę.

– Ja – przełknęła ślinę – ogarnę się i jadę do miasta. Na zakupy. Chcesz coś?

Piotr spojrzał na Annę. *Naprawdę musisz mi zawracać głowę?* – pytały jego oczy.

– Mam dużą ochotę na piwo.

– Piwo? – zdziwiła się Anna. – Nigdy przy mnie nie piłeś.

– Bo normalnie zasuвам po czternaście godzin. Teraz mamy urlop. Mogę się chyba odprężyć, czy to też zabronione?

– M... możesz, oczywiście, nie chciałam... Ech, jakie chcesz to piwo?

– Nie wiem. – Piotr parsknął kpiąco. – A jakie piwo pił twój ojciec?

Anna zeszywniała, jej dłonie zacisnęły się w pięści.

– Rany, tylko żartowałem. Nie tylko ty miałeś posranego ojca.

Anna Bler nic nie odpowiedziała. Unikając spoglądania na narzeczonego, poszła do łazienki. Szybki poranny prysznic zmył z niej nieco zmęczenia i wstydu, że znowu nie odpyskowała, że znowu przyjęła cios na klatę. Nieco orzeźwiona pojechała do Szczytna. W mieście zaparkowała nad rzeką, wysiadła i rozejrzała się po okolicy. Pusty parking, puste chodniki i ulice, zamknięte restauracje oraz sklepy. Najwyraźniej urlop poza sezonem nie był tak dobrym pomysłem, jak się Annie wydawało. Ale przecież w Szczytnie mieszkali ludzie, musieli gdzieś robić zakupy. Pierwsza myśl – sklepy osiedlowe.

Ruszyła pustymi alejkami nadrzecznego parku, wypatrując najbliższego osiedla. Minęła rząd kamienic, w tym restaurację „Kosta Rosa”, oczywiście zamkniętą. Uśmiechnęła się pod nosem, widząc jakże swojski błąd w pisowni. Zaraz za rogiem dostrzegła go – sklep osiedlowy. Otwarty. Poczciwa ekspedientka, która powinna już siedzieć na emeryturze, okazała się nad wyraz pomocną osobą. Anna wyszła ze sklepu obciążona dwiema siatkami pełnymi chleba, chipsów, kiełbas i wędlin. W jednej był też sok porzeczkowy i herbata, a w drugiej... piwo, które ekspedientka pomogła Annie wybrać.

Gdy Anna dochodziła do rogu kamienicy, jej uszu dobiegł gwar rozmów, śmiechy i muzyka. Zdziwiona, przyspieszyła kroku. Wyszła zza winkła. Przecznice dalej tłoczyli się ludzie – w ogródku restauracji „Kosta Rosa”. Pili, jedli. Byli.

Zdziwiona, podeszła nieco bliżej. Spośród gości wyłowiła dwie znajome twarze. Piotr i Gosia siedzieli przy jednym ze stolików. On odgarniał włosy z jej twarzy, ona gładziła jego udo. Nachylali się do siebie, szeptali, uśmiechali w rozmarzeniu.

Anna szła w ich stronę. Słyszała orkiestrę dźwięków codziennego życia restauracji, czuła zapach świeżo parzonej kawy, frytek i piwa.

Uderzenie gorąca. Kark zapłonął falami nieprzyjemnego ciepła, skronie pochłonął pożar.

Trąbienie.

Anna ocknęła się w jednej sekundzie. Jechał na nią biały dostawczak. Kierowca walił w klakson, jak szaleniec próbujący wbić sześcienny klocek w okrągły otwór

w dziecięcej zabawce. Anna stała na środku ulicy, odskoczyła w tył. Wystarczyły dwa długie kroki, by znalazła się znowu na chodniku. Dostawczak minął ją zaledwie o centymetry. Zatrzymał się. Kierowca uchylił okno.

– Patrz, gdzie łazisz! Durna baba!

Odjechał. Anna spojrzała jeszcze raz na restaurację. Była zamknięta. Ludzie zniknęli. Piotr i Gosia również.

Odłożyła siatki. Schowała twarz w dłoniach i panicznie łąpała każdy oddech. Wyciągnęła rękę w bok, by oprzeć się o ścianę kamienicy, drobną cząstkę materialnego świata. Z trudem powstrzymywała się przed wyciem, przed położeniem się na betonie i pozwoleniem, by przytłoczyła ją rzeczywistość.

– Przepraszam, czy mógłbym w czymś pomóc, kochaniutka? – usłyszała drżący, męski baryton. Zachrypnięty, ale ciepły.

Znieruchomiała, szybko przetrąła policzki i nos, dopiero wówczas spojrzała za siebie. Stał za nią staruszek o wyjątkowo przyjaznej aparycji. Jeszcze raz wytarła nos. Poprawiła włosy.

– Moja godność: Czernicki.

– Anna Bler.

– Miło mi. Więc cóż takiego się stało? Chłop? To chłop, prawda? Tylko chłop potrafi doprowadzić kobietę do tak rzewnych łez.

– Nie, to nie tak. To znaczy... To przez... chłopą, ale to nie jego wina.

– Coś mi się zdaje, że jesteś, złociutka, dla tego swojego kolegi zbyt łaskawa.

– Nie wiem. Ja... Ech, to wszystko przez te telefony.

– Telefony? A to diabelski wynalazek! Ja rozumiem, dwudziesty pierwszy wiek i takie tam, ale ja telefonu nie mam. Raz miałem, stacjonarny. Niedługo później odeszła moja małżonka. Tydzień po pogrzebie zadzwonił ktoś, kto miał identyczny głos, imię i manierę. Mówi mi, że się stęskniła. Mało na zawał nie zszedłem. Potem się okazało, że to niefortunna pomyłka.

*Pomyłka – pomyślała Anna Bler – błąd Matriksa.*

– Też tak miałam. – Zamyśliła się, bo to nie o telefoniczną pomyłkę przecież szło, a o to, co ta pomyłka mogła oznaczać. Z drugiej strony, Piotr wczoraj też słyszał dzwonienie telefonu. – Czasami... dzieją się takie rzeczy... że zastanawiam się, czy nie... zwariowałam.

– Hmm, to o to chodzi, prawda? Wy, młodzi, jesteście strasznie zapracowani. Przemęczacie się. Ale w pani przypadku, kochana, nie ma się czym martwić. – Czernicki nachylił się do Anny. – Wariat się nie zastanawia czy jest szalony. Jest przekonany o swojej normalności. Prawdę mówiąc, póki zastanawia się pani nad zdrowiem własnego umysłu, póty możemy mieć pewność, że wszystko z panią w porządku.

– To chyba nie jest takie proste. Mimo wszystko... dziękuję.

Anna pożegnała się z panem Czernickim, podniosła zakupy i wróciła do samochodu.

\*\*\*

Zaparkowała przed domkiem – samochodu Piotra nie było, ale nie przejęła się tym zbyt. Miał prawo odreagować kłótnię. W sieni powiesiła skórzaną kurtkę, kluczyki i dokumenty zostawiła w kieszeni. Zniosła zakupy do kuchni i wstawiła wodę na herbatę. Z zewnątrz dobiegł dźwięk silnika. Anna wyjrzała przez okno. Na podjazd wjeżdżała Gosia.

– Co jest?

Anna ruszyła do drzwi. Wyszła na ganek. Samochód Gosi stał zaparkowany obok sedana Piotra, ich samych jednak nigdzie nie widziała. Wyszła przed domek, rozejrzała się, wychyliła za róg.

– Piotr? Gosia?

Odpowiedział jej jedynie szum drzew z pobliskiego lasu.

– Co do cholery?

Wróciła do domku. W sieni, obok swojej skórzanej kurtki i sztormówki zobaczyła płaszcz, który z pewnością należał do Gosi. Pod ławą leżały jej buty. Anna weszła do salonu. Pusto. Odłożyła na stolik smartfona. Obok leżał telefon Piotra. Chwilę się w niego wpatrywała. Dioda w górnym rogu migłała, informując o nieodczytanym powiadomieniu. Wzięła telefon narzeczonego, odblokowała go i zobaczyła dymek z nieodczytaną wiadomością:

Gosia: Już jestem, rozbieraj się!

Anna usiadła na kanapie. Odłożyła telefon i walczyła z pokusą, by poznać prawdę. Zaczęła czytać poprzednie wiadomości, jedna po drugiej, cofając się w górę rozmowy.

Gosia: Wyjechałam ze Szczytna.

Piotr: Daj znać, jak będziesz w Szczytnie. Wszystko przygotuję.

Gosia: Jestem już w drodze.

Piotr: Tak! Przyjedź. Dzisiaj.

Gosia: Czas coś z tym zrobić. Jesteś gotowy pozbyć się tej szmaty raz na zawsze?

Telefon wysunął się spomiędzy palców Anny i z trzaskiem uderzył o panele. Panującą w salonie ciszę przeciął wysoki jęk, stłumiony, ale na tyle wyraźny, że nie dałoby się go pomylić z niczym innym. Tak jęczały doświadczone aktorki porno. Anna spojrzała w stronę sypialni. Sapania i jęki wylewały się przez szparę w drzwiach.

Podeszła, uważnie stawiając każdy krok. Stała przed drzwiami, pochyliła się nieco i zajrzała przez szparę. Gosia ujeżdżała Piotra, jakby oboje odgrywali perwersyjną wersję rodeo.

Zawroty głowy uderzyły niespodziewanie – czym innym było podejrzewać Piotra o zdradę, czym innym zobaczyć ją na własne oczy. I te wiadomości. Chcieli jej się... pozbyć.

Anna spojrzała jeszcze raz przez szparę. Gosia i Piotr wpatrywali się prosto w jej oko. Gosia z zaciętą miną przyśpieszyła, zamieniając ostry seks w brutalne branie wszystkiego, na co miała ochotę.

Anna odsunęła się od drzwi. Zasłoniła usta dłonią i pochyłona pozwoliła, by jej ciałem targnął mocny spazm. Zakwiczała, załkała. Odwróciła się i wyrwała w kierunku wyjścia. Dopadła do sieni – Piotr już tam stał. Ubrany w jeansy i swoją ulubioną białą koszulkę z wielkim logo Batmana. Uśmiechał się, jednak w oczach błyszczała nie radość, a niemożliwa do powstrzymania żądza, drapieżna, z jednej strony pełna chłodu dla ofiary, z drugiej wrząca szaleńczą pasją.

– Wiesz, chcieliśmy poczekać z tym do rana – zaczął i postąpił o krok – ale skoro już jesteś...

Anna cofnęła się do salonu, a Piotr podążał za nią krok w krok. Odwróciła się. Gosi nigdzie nie dostrzegła, zauważyła za to szeroko otwarte drzwi sypialni. Rzuciła się do

nich. Minęła kanapę i kilkoma susami wpadła do pokoju. Omiotła go spojrzeniem – pusto. Zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz.

Jeszcze raz zakwiliła.

– Zupełnie jak twój ojciec – głos Gosi dobiegł od strony okna, Anna odwróciła się i zamarła. Gosia stała oparta o parapet, a jej twarz, włosy i ubranie znaczyły wielkie, ciemnoczerwone plamy. – Z nim też mieliśmy sporo zabawy.

– Co się dzieje?

Anna odwróciła się do drzwi i złapała za klucz, chciała go przekręcić, ale się zaklinował.

– Wiesz, co było najtrudniejsze w udawaniu twojej matki? Przytulanie cię w noc, gdy *to* się stało.

Anna mocowała się z kluczem, próbowała kręcić nim to w jedną, to w drugą stronę. Gosia minęła łóżko. Stanęła tuż za Anną, nachyliła się do niej i wyszeptała do ucha:

– To przez nas ją zabił.

Anna zamarła. Na jedno uderzenie serca, a może na całą wieczność. Nie wiedziała. Pewna była za to jednego – nie była swoim słabym ojcem!

Zdzielila Gosię łokciem. Kość nosowa pękła, a z nozdrzy wystrzeliła szkarłatna, spieniona rzeka.

Anna chwyciła za klucz. Przekręciła. Rygiel cofnął się do zamka. Otworzyła drzwi i wypadła do salonu. Pusto.

Przebiegła salon, wparowała do sieni i wciągnęła glany. Zerwała swoją lekką skórzaną kurtkę. Wybiegła na ganek. Tu też pusto. Dopadła do samochodu, odblokowała drzwi pilotem i usiadła za kierownicą. Natychmiast zablokowała drzwi.

Nie trafiła kluczykiem do stacyjki. Drugi raz też nie. Zamknęła oczy, uspokoiła nieco oddech. Trafiła. Przekręciła kluczyk. Silnik zakręcił, ale nie odpalił. Powtórzyła czynność. Silnik zakręcił i nic więcej. Przekręciła jeszcze raz. Trzymała kluczyk w pozycji zapłonu, a silnik kręcił z coraz mniejszą werwą, coraz wolniej, coraz bardziej ospale.

Jakiś cień zmaterializował się na siedzeniu pasażera. Gosia. Trzymała coś w ręce. Jakieś przewody.

– Ups! To chyba ważna część.

Gosia rzuciła się na Annę. Szamotały się w samochodzie, jedna próbując wydrapać drugiej oczy, druga próbując przeżyć.

Anna zdzieliła Gosię prosto w złamany nos, ta aż uderzyła plecami o drzwi pasażera. To była jedyna szansa na ucieczkę. Anna sięgnęła do klamki, otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu. Spojrzała przez ramię – Gosia przeszła na miejsce kierowcy i już sadziła się do wyjścia. Anna kopnęła w drzwi samochodu. Te zatrzęsły się z łomotem, miażdżąc Gosi palce – zawyla niczym piekielna bestia. Anna cofnęła się o krok, odwróciła i pognęła w stronę domku.

Gdzie Piotr trzymał swoje kluczyki? Plecak! Był w sypialni.

Wpadła do sieni, okręciła się, by zatrzęsnąć drzwi. Gosia rąbnęła w nie z całym impetem. Obie przeleciały przez sień i wpadły do salonu. Anna przeturlała się po podłodze i zatrzymała na sekundę, tuż przy stole jadalnianym. Spojrzała w górę.

– Pieprznica – powiedziała do siebie.

Wystrzeliła w stronę blatu, chwyciła wysoką, drewnianą pieprznicę. Okręciła się i, niespecjalnie celując, rąbnęła prosto w głowę Gosi, która już gotowała się, by na nią skoczyć.

Trafiona osunęła się na podłogę. Nie straciła przytomności, jednak ciałem sterowały już tylko najbardziej podstawowe instynkty. Gosia bezładnie machała rękoma, powoli, jakby odganiała natrętną muchę, albo śniła, że pływa pieskiem.

Anna stanęła nad nią, sapała, ze zmęczenia, strachu i wściekłości. Ryknęła. Zamachnęła się i zdzieliła dawną przyjaciółkę prosto w twarz. I potem jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze. Pieprznica tłukła w miazgę, mieszaninę skruszonych kości twarzoczaszki, pozrywanych kawałków mięśni, pozlepianych krwią włosów. Gdzieś zabłyszczał ząb, gdzieś oko, które wypadło z oczodołu.

Anna w końcu przestała. Osunęła się na kolana, dysząc, sapiąc, łkając. Przeplýwała przez nią wezbrana rzeka gniewu i obrzydzenia, strachu i żalu. Krzyknęła, wypuszczając z dłoni zakrwawioną pieprznicę. Krzyknęła jeszcze raz.

Nabrała powietrza w płuca, by ryknąć ponownie. Wtedy usłyszała klaskanie. Powolne. Ironiczne.

– Brawo. – Piotr stał po drugiej stronie stołu jadalnianego i ostentacyjnie klaskał. – Twój ojciec nie był do tego zdolny. Muszę przyznać, jesteś od niego lepsza.



W czajniku zagotowała się woda, para buchnęła z gwizdem. Anna wstała powoli. Spojrzała na Piotra, potem na czajnik. Naprawdę minęło tylko kilka minut? Naprawdę w czasie krótszym niż ten potrzebny do zagotowania wody zamieniła się w brutalną morderczynię? W jaki sposób jedna krótka chwila potrafi zmienić całe życie?

– Ona pewnie już wspomniała, że wcielala się w twoją matkę? – Piotr ponownie się odezwał. – Wiele razy wcielaliśmy się w innych. I mieliśmy przy tym mnóstwo zabawy, patrząc jak wy, ze swoimi małymi rozumkami, próbujecie ogarnąć, co się dzieje, ogarnąć coś, co wymyka się waszemu ograniczonemu, ludzkiemu postrzeganiu rzeczywistości.

Anna zerknęła na pieprznicę leżącą obok ciała Gosi. Piotr zareagował błyskawicznie. Pchnął stół na Annę. Odskoczyła i natychmiast wbiegła do kuchni. Dopadła do blatu, chwyciła pierwszą z brzegu rzecz – pusty kubek. Cisnęła nim w Piotra. Ten nawet nie musiał się uchylać. Zaśmiał się, przechylił głowę, patrząc prosto w oczy Anny i wyciągnął zza pleców długi nóż.

– Obiecuję... że będzie bolało.

Piotr zaśmiał się, a czajnik nadal gwizdał. Anna rzucała w Piotra wszystkim, co znalazło się w jej zasięgu. Powietrze przecięła kuchenna rękawica, jeszcze jeden kubek i metalowa tarka. Anna wyszarpnęła szufladę ze sztucami, ta jednak okazała się za ciężka, wyslizgnęła się z jej palców i z łoskotem rąbnęła o podłogę.

– Kurwa! – krzyknęła Anna i obróciła się w poszukiwaniu kolejnego przedmiotu, który mógłby posłużyć za broń.

Chwyciła za czajnik. Porwała go z kuchenki i cisnęła z całych sił. Trafiła! Wrzątek rozlał się po twarzy Piotra, po jego szyi i uniesionych dłoniach. Nóż wypadł mu z ręki i potoczył gdzieś pod stół. Anna spojrzała na blat – najbliżej leżały nożyce. Wielkie krawieckie nożyce, którymi dwa dni temu otworzyła paczkę mrożonych frytek, i których nie chciało jej się chować do szuflady. Porwała je i skoczyła w stronę Piotra. Ten zaś, cofnął się do salonu, pobiegł po telefon Anny, odblokował go i przyłożył do ucha.

Anna szła w jego stronę, a on cofał się, okrążając tyłem kanapę.

– Halo? Halo, policja? Ona chce mnie zabić – powiedział, bardzo dobrze udając przerażenie. – Ona oblała mnie wrzątkiem, ma nóż! Nie! Proszę! Nie rób tego! Nazywam się Piotr Glicki. Proszę, ona mnie zabije.

Anna rzuciła się na Piotra, krzycząc jak opętana. Wypuścił z dłoni telefon i skoczył w stronę sieni. Wyminął kanapę i dopadł drzwi, rozwarł je szeroko, przeciął się i wypadł

na ganek, zatraskując za sobą drewniane skrzydło. Anna pędziła tuż za nim. Uderzyła w drzwi. Ryknęła wściekle i walnęła w nie pięścią jak młotem. Szpic nożyc zagłębił się w drewnianej powierzchni. Wyrwała nożyce. Z impetem otworzyła drzwi, sadząc się do ciosu.

Piotr stał na ganku zaraz za progiem.

– Kotek, już jestem! – wykrzyczał radośnie, rozkładając ręce.

Anna zamachnęła się nożycami. Dwa metalowe ostrza, złożone razem w mocnym chwycie, przecięły wieczorne powietrze. Żelazna smuga rozmyła się między cieniami jasnym refleksem. Bliźniacze szpice zanurkowały między włókna kurtki, przeszły przez nie bez trudu. Bez trudu przeszły przez koszulę, skórę, mięśnie.

Anna wyrwała nożyce z barku Piotra, ciągnąc za ręką warkocz karmazynowych kropel. Uderzyła znowu. W bok szyi.

Na twarzy Piotra odmalowało się zaskoczenie. I coś jeszcze... niedowierzenie. Osunął się na kolana, a kolejny cios powalił go na bok. Niespodziewanie szybko tracił siły. Wypływały z niego razem z rozplywającym się po deskach ganku czerwonym potokiem. Życie uciekało z każdym pchnięciem.

Zacharczał. Gardło zalała mu krew. Zamrugął intensywnie, poruszył ustami, w których pienila się czerwień. Znieruchomiał.

Anna dźgała jego martwe ciało. Krzyczała przy każdym ciosie, ale też opadała z sił. Wysięk i stres wzmagały się jak poziom wody podczas przyływu. Zalały jej mięśnie, wprawiając je w niekontrolowane drżenie. Żołądek ścisnął się mocniej niż wcześniej. Anna zwróciła całą jego zawartość. Wypuściła nożyce, drżącą dłonią przetarła usta. Nie spojrzała na ciało Piotra. Ominęła je na czworaka.

Dyszząc jak zagonione zwierzę, przeczołgała się do samochodu. Usiadła, oparta o koło. Podniosła ręce na wysokość twarzy. Smugi krwi i błota znaczyły jej dłonie czerwono-brązową pajęczyną.

Zawyła żałośnie.

Wstrząsnął nią jeszcze jeden spazm mdłości, ale nie miała już czym zwracać. Osunęła się na łokcie, a błoto wsiąkało w jej spodnie.

Opierając się o nadkole, wstała, pilnując się, by nie spojrzeć w stronę domku. Ominęła samochód. Ruszyła w stronę lasu. Powłócząc nogami, dotarła do ściany drzew. Szlak ubitego piachu wił się leniwie, omijając porośnięte pagórki.

Szła.

Dotarła na pomost. Jezioro chlupotało beztrzesko, deski skrzypiały pod jej stopami, gdzieś w pogłębiającej się ciemności zahuczała sowa. Anna usiadła na końcu pomostu – tyłem do lasu. Przestała płakać.

\*\*\*

Pomost się zabujał, a deski bliżej brzegu zaskrzypiały pod ciężarem czyichś kroków. Anna nie podniosła wzroku, nie obróciła się. Czekwała na to, co miało nadejść i nie przejmowała się, co to będzie.

Ktoś stanął tuż obok, coś powiedział, ale Anna myślami była daleko, w odległej przeszłości, zaplątana w sieci nieszczęść i koszmarów. Poczula mocny chwyt pod pachami. Pozwoliła się podnieść.

Dwa kształty. Ciemne. Granatowe.

Zamrugła, nieco się otrząsnęła.

Policja.

Pytali o coś, ale nic nie odpowiedziała. Dała się przeprowadzić przez las, przez niewielką łąkę i podjazd. Ściany domku migotały w niebieskim świetle, drewniany ganek błyszczał ciemnymi zaciekami i wielką kałużą. Nad ciałem Piotra stało dwóch mężczyzn, rozmawiali o czymś, śmiali się, wskazywali kolejne rany.

Do dwójki policjantów i Anny podszedł kolejny mundurowy.

– Spory bałagan. To ona? – Skinął głową na Annę. – No nic, Andrzej nie będzie miał dużo roboty z ciałem. Nieźle gościa załatwiła.

– Cia... ciałem? – zapytała Anna zachrypniętym głosem, który zdawał się należeć do jakiejś obcej kobiety. – Je... jednym?

Policjanci spojrzeli na nią, jeden zdziwiony, drugi zaniepokojony.

– A ile ich powinno być? – zapytał ten zaniepokojony.

Anna powoli przeniosła na niego wzrok.

– Gosia... leży w salonie.

– W salonie nikogo nie ma.

– Jest. Była tam.

Anna minęła ciało Piotra.

– Ej, proszę się zatrzymać!

Technik zagroził jej drogę.

– Mówię, że tam nikogo nie ma.

Anna stała na ganku, rozglądając się bezradnie. Spojrzała na ciało Piotra i zbladła.

– On... miał koszulkę, białą koszulkę ze znakiem Batmana. To nie jest... To... To kurtka. – Podniosła wzrok na policjanta. – On nie miał ubranej kurtki. Nie miał kurtki!

Zza pleców mundurowych wyszedł zakrwawiony Piotr w białej koszulce z logiem Batmana. Zaraz za nim pojawiła się Gosia. Anna cofnęła się odruchowo. Policjanci spojrzeli na nią zdziwieni.

– Pokazaliśmy kilka sztuczek twojemu ojcu – zaczął Piotr. – To dlatego zabił twoją matkę. A teraz... te same sztuczki pokazaliśmy tobie.

– Oni tu są! – Anna krzyknęła do policjanta.

Ten rozejrzał się, nic nie dostrzegł i skinął do jednego z mundurowych.

– Załóż pani kajdanki i odprowadź do radiowozu, nie chcę, żeby narobiła więcej kłopotów.

– Nie! Nie rozumiecie. Oni tu są! Tutaj!

Mundurowi złapali Annę. Natychmiast się szarpnęła, zawyła.

– Kim jesteś, skurwielu! Kim!

Piotr nachylił się do Anny.

– Karmimy się rozpaczą takich jak ty. Wcieliłem się w twojego narzeczonego, byłem nim przez ostatnie kilka dni, ale to nie mnie zabiłaś. Pamiętasz? Mówił, że przyjedzie dzisiaj wieczorem. – Uśmiechnął się i cofnął.

– Dlaczego...

– Zwabiła nas słodka woń szaleńczej zazdrości. Orzeźwiający zapach braku zaufania pomimo rzekomej... ech... miłości.

Jeden z policjantów założył Annie kajdanki, złapał pod ramię i odprowadził do radiowozu. Nie stawiała oporu, ale cały czas wpatrywała się w jeden punkt w przestrzeni. Nie odrywając od niego wzroku, usiadła z tyłu samochodu.

Piotr i Gosia uśmiechnęli się upiornie, a ich paszcze rozwarły się, szczerząc ostre, stożkowe kły. Rozwiali się jak dym.

– Nie, nie, nie. Nie!

Anna Bler spojrzała na ciało Piotra, które jeden z techników właśnie przykrywał czarną folią.

– Nie – zapłakała.